

# DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII

Warszawa, 29 czerwca 1952 r.

Nr 26 (344)

Andrzej KRASIŃSKI

## Nowa fala nihilizmu

TO CO nas uformowało i co nas otacza wydaje się tak oczywiste, konieczne i powszechne, że niekiedy niezmiernie trudno zdać sobie sprawę, w czym tkwi istota naszej odrębności cywilizacyjnej, jakie treści kulturowe warunkują specyficzne oblicze tego, co określamy ogólnym mianem cywilizacji europejskiej. Mimo tego trudu dokonywanie ciągłego obrachunku osiągniętych już i nagromadzonych wartości jest koniecznym warunkiem dalszych procesów kulturotwórczych, zaś jego podjęcie staje się palące i nieodzowne w epokach przełomowych.

Prawo do korzystania z dorobku kultury jest bezsporną własnością całej ludzkości i nie mogą od niego odgradzać granice państw czy kontynentów. Faktem jednak historycznym są pewne systemy wymiany wartości kulturowych. Europa taki system stanowi. Wchodzą w jego skład na prawach równorzędnych wszystkie narody tej części świata od Uralu do Morza Śródziemnego. A oddziaływanie jego przekracza te geograficzne granice. W tej organizacji wymiany dóbr w historii szczególnie rolę przypadła krajom Europy zachodniej. Choć bowiem dziś przestały one przodować w twórczym przekształcaniu oblicza świata nie podobna zapomnieć o żywym ciągle wkładzie, który wniosły we wspólny dorobek europejskiej wspólnoty kulturowej.

Ambicją tych uwarunkowań nie jest bynajmniej wyczerpująca charakterystyka cywilizacji europejskiej ani też gruntowna analiza zjawisk, które się na nią składają. Chodzi tu jedynie o zwrócenie uwagi na pewne rysy charakterystyczne dla klimatu kulturowego, które dziś szczególnie zasługują na baczną uwagę.

Ostatnia wojna (nie tyle nawet sam jej fakt i niespotykana w dziejach skala, ile ujawnione przez nią siły, sprzeczne z podstawowymi ideałami kultury) musiała zachwiać poważnie wiarę w wielkość cywilizacji europejskiej. Wiary tej nie wzmochnęły także na pewno lata powojenne, w których stało się jasne, że Europa zachodnia mimo tragicznych doświadczeń nie wyleczyła się radykalnie z faszyzmu i jego skutków moralnych.

Mimo jednak nowych groźnych chmur wojennych gromadzących się w Niemczech zachodnich i odgradzających nas od tej części Europy, mimo wszystkich bolesnych lekcji historii, dorobek kultury krajów zachodniej Europy jest nam bliższy niż kiedykolwiek; jest nam bliższy i pojmujemy go w sposób bardziej istotny i świadomy.

Dziś bowiem, po ostatniej wojnie światowej, z większą jasnością i przenikliwością widzimy, co w przeszłości Zachodu zasłu-

guje na podziw i kontynuację, a co w chwili obecnej szczególnie zagraża kulturze krajów europejskich.

Przez dwadzieścia wieków na szczytach Europy przeszła różna koleje. To jednak, co stanowi charakterystyczną cechę, niejako motyw przewodni historii tej części świata, to rosące nieustannie poczucie godności człowieka, potęgujące poczucie wspólnoty między ludźmi i stopniowo wyzwajające człowieka z niewoli sił przyrody oraz wzajemnego uzależnienia ludzi pomiędzy sobą. W formowaniu się europejskiej świadomości kulturowej naszym zdaniem wpływ ducha chrześcijańskiego jest decydującym. Ale na wet dla ludzi nie podziwiających tego poglądu jest jasne, że ideał ukochania człowieka i służby ludzkości uformował moralny klimat Europy. Tę podstawę każdej ideologii społecznej odkryć można nie tylko w ruchach chrześcijańskich sensu stricto, ale także we wszystkich niechrześcijańskich, ale wyrosłych w klimacie duchowym Europy, ideologiach.

Urzekający mit o Prometeuszu, właśnie w chrześcijaństwie, w klimacie duchowym Europy nabrał najpełniejszej treści. Z legendy o półbogu zmienić się tu w żywy, każdemu dostępny ideał życia — program działania.

Święci, stojący u szczytu dostępnego człowiekowi heroizmu, tak jak wybitni artyści, ludzie nauki czy reformatorzy społeczni i wszyscy wielcy, których wydała i którymi szczyści się nasza cywilizacja, byli Prometeuszami swoich czasów. Świadomość swych obowiązków wobec człowieka i cywilizacji, ukochanie człowieka i szczytnej służby jego dobru zapewniały im siły i skuteczność działania. Nie co innego jak właśnie gotowość do zapomnienia o sobie, do oddania swych sił na usługi wyższych celów jest siłą napędową historii i źródłem potężnej woli kultury i postępu tkwiącej w ludziach naszej cywilizacji. Dzięki temu właśnie cywilizację tę cechuje nieznaną gdzie indziej dynamizm.

Europa często była terenem głębokich kryzysów duchowych i krwawych wojen. Nieraz już w przeszłości wydawały się bliskie zagubienia te wartości kultury, które słowem „Europa“ nadają istotny sens. Jednak nie zagubiła ich nigdy. Nawet w najsmutniejszych okresach historii, nawet w błędach i tragediach dopatrzeć się można cech wielkości. Bo przekonanie o słuszności i ofiarności na rzecz dobra ogólnego jest zdolne nawet błąd częściowo przynajmniej zrehabilitować.

W Europie nigdy nie zatrumfował powszechnie i obowiązkowo nihilizm i nigdy nie poddane zostało w wątpli-

wość powszechne przekonanie o moralnej wyższości postawy ideowej nad postawą egoizmu i łatwego życia. Choć nieraz dramatyczne spory rozdzierały Europę, różnice poglądów społecznych, filozoficznych, religijnych czy też sprzeczności interesów narodowych, nie zdołały przecież nigdy zerwać najistotniejszych związków określających jej kulturę wspólnotę. Bo w szerokich ramach tej wspólnoty nie brak miejsca na różne zdania, spory i ścierające się ze sobą sprzeczności. Pluralizm taki tkwi głęboko w tradycji europejskiej. Przeto i dziś nie mogą nikogo przerażać spory światopoglądowe. Istotne zagrożenie cywilizacji tkwi zupełnie gdzieindziej. Tkwi ono nie w różnicach ideologicznych ale w niebezpieczeństwie braku ideologicznych napięć. Europa bowiem, jeśli ma pozostać sobą, musi zawsze jak dotąd być żarliwa. We wspólnym świecie ideologia i walka proletariatu jest świadectwem żywotności tej tradycji, która ożywia wszystkie twórcze ruchy umysłowe i wszystkie postępowe ideologie społeczne. Bezideowa postawa świata mieszczańskiego jest zaś świadectwem zagubienia tej tradycji.

POKUSA nihilizmu to nie tylko przejaw przejściowego zmęczenia i zniechęcenia inteligencji zachodniej czy też degeneracji europejskiego mieszczaństwa. Na zmęczeniu i degeneracji tej bowiem żerują siły płynące z Atlantyku i niosące stamtąd nowy, nieznan dotąd Europie, agresywny i zdoływy nihilizm. Cywilizacja oparta na egoizmie osobniczym oraz hedonistycznym kulcie sukcesu i używania życia jest w swych podstawach najbardziej odrażająca i Europie obca.

Byłoby niesprawiedliwe odmawiać narodowi amerykańskiemu wszelkich wartości, zapominać o ścisłych związkach kulturowych, jakie do niedawna łączyły go z macierzą, czy też zapoznawać sił moralnych, które drzemają w prostym człowieku Ameryki. Trzeba jednak być zaślepionym, by nie dostrzec oczywistego faktu, że cały ten olbrzymi gmach jakim jest kapitalistyczna struktura tego kraju, zbudowany jest na egoizmie i brak mu jakichkolwiek podstaw moralnych; że całej tej cywilizacji nie ożywia żaden wyższy ideał społeczny, a wszelkie jego przejawy indywidualne albo są niszczone jako anty-amerykańskie, albo też ujawniają się w postaci pozbawionego związku z życiem, mglistego humanitaryzmu i filantropii obraźliwej dla tych, którym rzekomo chciałaby przyjść z pomocą.

Do dalekiej przeszłości należą już czasy, kiedy to Ameryka mogła uchodzić za kraj ży-

wego ideału wolności człowieka. Ale nawet wówczas, gdy nurtowały go jeszcze ideały Waszyngtona, Jeffersona czy Tomasza Paine'a można było po wątpiewać, co do ich praktycznej, dynamicznej wartości. Cóż warta jest bowiem wolność kiedy do pojęcie oderwane jest od perspektywy pełnego rozwoju człowieka, i to nie garstki ludzi, ale ich ogółu. Mówienie o wolności jest wtedy tylko pustą retoryką. Tymczasem w Ameryce wraz z wzrostem kont bankowych uprzywilejowanych w zastraszający sposób ubożało życie wewnętrzne ludzi, by ostatecznie wytworzyć typ Amerykanina zadowolonego z siebie, szczytującego się swym ubóstwem umysłowym i moralnym a pochłoniętego wyłącznie żądzą najbardziej płaskiego użycia. Cóż więc dziwnego, że politykom amerykańskim w tak krótkim czasie udało się zadać kłam całej tej osławionej amerykańskiej wolności.

Podobnie ma się rzecz z amerykańską kulturą materialną, w której niegdyś tak wielkie pokładano nadzieje. Wiąże się to z podstawowym dla rozwoju cywilizacji pytaniem, czy postęp techniczny sam w sobie może być wystarczającym celem dla zmobilizowania człowieka i społeczeństwa. Postęp techniczny oczywiście, ale w służbie czego?

To samo prawo ciążenia rzadzi lotem ptaka wznoszącego się w niebo co kamieniem spadającym w dół. Podobnie też i postęp techniczny może swym bezwładem przytłaczać i pociągać w dół człowieka. Gdy zaś kieruje nim świadoma wola ludzka, gdy ożywia go ideał służby człowiekowi i ludzkości, wówczas ten sam postęp techniczny może stać się potężną dźwignią w rozwoju jednostki i społeczeństwa.

Cały z trudem wzniesiony gmach cywilizacji amerykańskiej pozbawiony został tego, co wysiłkom człowieka nadaje wysoką rangę moralną. Bez tego fundamentu najsprawniejsza organizacja jest tylko aparatem ucisku człowieka, jest skierowaną przeciwko niemu antyhumanistyczną machiną zmieniającą go w bezdusznego robota. Co więcej, jak uczy doświadczenie, organizacja taka, zbudowana bez wyższego celu, musi rodzić zbrodnie, tym groźniejsze, im organizacyjnie jest doskonalsza. I tu tkwi źródło nihilizmu jaki niesie w sobie wpływ kapitalistycznej Ameryki. Doprawdy trudno o bardziej cyniczną mistyfikację, jak pasowanie tej właśnie Ameryki na obrońcę wartości cywilizacji europejskiej.

Może komuś wydać się dziwne, że dziś w Polsce, odgródzonej od Ameryki nie tylko przestrzenią tysięcy kilometrów, ale także oddzielonej przegradą

W NUMERZE m. in.:

D. ROBODYŃSKI — Próba przemocy  
J. KOLENDO — Czy rzeczywiście „towar na eksport“?  
Z. LICHNIAK — „Bykiem“ w kulturę  
H. SYLWESTER — Mr. Murphy przemawia  
M. ROSTWOROWSKI — Ich sojusznicy  
LESZCZ — Film chce mówić prawdę

dwóch odmiennych systemów, tyle miejsca poświęca się problemowi destrukcyjnego wpływu kultury amerykańskiej i tak wiele mówi się o zagrożeniu kultury w krajach zachodniej Europy. Zdziwienie całkowicie nieuzasadnione.

Zachód Europy przeżywa dziś głęboki kryzys, pochodzący zarówno z zagrożenia z zewnątrz, jak z wewnętrznego zatracenia.

U nas zaś, tak jak w Związku Radzieckim i innych krajach budujących socjalizm, dzięki głębokiej orce rewolucji nowe siły społeczne wydobyte zostały na wierzch. Całe nasze społeczeństwo powołane jest do ciężkiej walki o swoją przyszłość. W do niedawna hermetycznie zamknięty świat pojęć jednostki wtargnęła paląca problematyka życia zbiorowego. Nikt nie może pozostać obojętny wobec napięcia ideologicznego, jakim przepojone jest całe życie.

To wszystko wymaga wysiłku, to wszystko dla wielu ludzi nieubronionych ideowo może wydawać się ponad siły, ale stwarza warunki w których człowiek formuje się i dojrzewa. Życie nasze jest autentyczniejsze — to nie wypelnione lekkiem przed jakąkolwiek zmianą trwa nie, którym jest egzystencja przeciętnego francuskiego „bourgeois“. Każdy dzień, każdy świadomy czyn ludzki formuje oblicze kultury, nie tej, która pod warstwą kurzu drzemie zakłeta w kartach skrzętnie przechowywanych ksiąg, ale tej, która co dnia staje się na nowo, która żyje życiem całego społeczeństwa.

Kultury, która nabiera pełnej wartości w świetle pragnień, dążeń i twórczego wkładu milionów rzesz ludzi dotychczas upośledzonych. Wartość bowiem — tak w dziedzinie ekonomii jak i w dziedzinie kultury — to stopień pożądania przez ludzi. To prawo wartości ukazuje wymownie wielkość naszych perspektyw i naszą wyższość nad Zachodem, który w przeszłości przywykliśmy uważać za kolebkę kultury.

W MOMENCIE, gdy w normalnych warunkach rozwija się materialne i duchowe życie krajów zachodniej Europy, gdy destrukcyjne wpływy z Atlantyku sięgają po coraz to nowe dziedziny życia, nie wystarcza bierne poczucie świadomości niebezpieczeństwa. Niezbędny jest w społeczeństwie polskim wzrost poczucia łączności z zagrożonymi wartościami cywilizacji europejskiej, połączony z rosnącym poczuciem odpowiedzialności za los kultury. Odpowiedzialność ta bowiem nieodwołalnie obciąża nasz świat, świat budowany rękami wyzwajających się mas ludowych.

# Siódme plenum

W DNIACH 14 i 15 czerwca Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej obradował na swoim, siódmym z kolei Plenum. Jak wicimy na ostatnim (szóstym) Plenum K. C. P.Z.P.R. Prezydent Bolesław Bierut postawił przed Polakami zadanie realizacji Frontu Narodowego.

Obecne Plenum było poświęcone dyskusji nad referatem Prezydenta „O umocnieniu spójni między miastem a wsią w obecnym okresie budownictwa socjalistycznego”.

Referat Prezydenta Bieruta składał się z czterech zasadniczych części podzielonych z kolei na szereg zagadnień szczegółowych. Najpierw Prezydent poddał wrótkliwej analizie ogólny kryzys systemu kapitalistycznego i walkę narodów o pokój, po czym szeroko omówił nowe zadania kierownictwa naszego przemysłu socjalistycznego. Sprawa rolnictwa i spójni między miastem a wsią była następną częścią tego długiego i twórczego referatu. Zadania organizacyjne Partii omówił Prezydent Bierut w ostatniej części swego referatu. Całość stanowi wyczerpujące i w wielu punktach nowatorskie oświetlenie wszystkich niemal wydarzeń społeczno-gospodarczych i politycznych ostatniego okresu.

Ponieważ Polska Zjednoczona Partia Robotnicza odgrywa w naszym państwie rolę kierowniczą, wytyczne ustalone na plenarnych zebraniach jej Komitetu Centralnego winny być skrupulatnie analizowane przez wszystkich obywateli bez względu na przynależność światopoglądową. Musimy sobie najzupełniej jasno uświadomić, że w momencie, gdy klasa robotnicza przejęła odpowiedzialność za losy narodu polskiego obowiązkiem obywatelskim każde go z nas jest świadome współdziałanie z jej kierowniczym oddziałem w realizacji zadań wspólnych dla wszystkich Polaków.

Upowszechnienie tej świadomości wzrosło w naszym społeczeństwie bardzo wydatnie na przestrzeni ośmiu lat dzielących nas od Manifestu Lipcowego. Tym przede wszystkim tłumaczy się ogromne zainteresowanie referatem Prezydenta opublikowanym przez całą prasę codzienną.

Jeśli chodzi o nas, katolików, to coraz wyraźniej pojmujemy ścisłą współzależność jaka istnieje między kształtowaniem się polskiej rzeczywistości a polityką Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wobec oczywistych faktów nie wolno nam utrzymywać, że obrady Partii są sprawą wewnętrzną-marksistowską obchodzącą tylko ludzi zajmujących określone stanowisko światopoglądowe. Tak więc np. realizacja hasła Frontu Narodowego czy uczestnictwo w wykonywaniu Planu Sześcioletniego — wszystko to było i jest konsekwencją dyrektyw partii marksistowskiej. Sedno jednak sprawy tkwi dla nas w tym, że obrady partii są w głównej mierze poświęcone uogólnianiu najbardziej praktycznych doświadczeń, w których wszyscy Polacy, a więc i katolicy najżywiej uczestniczą. Nie widzieć tego to znaczy uprawiać niezgodne z naszym uniwersalistycznym poglądem sektciarstwo, to znaczy wrzeszcze przekreślać sens własnego codziennego wysiłku w służbie ojczyzny.

Sprawa ośmierności światopoglądowej na pewno nie powinna się manifestować w uprawianiu polityki strusiej ani też w znieważaniu godności własnej pracy. Przypominaliśmy

o tym w artykule wstępnym ostatniego numeru „Dziś i Jutro” pisząc między innymi: „Dla ludzi wierzących, dla katolików, którzy budują socjalizm aktywnie uczestnicząc w Narodowym Frontie Walki i o Pokój i Plan Sześcioletni udział w budowie socjalizmu oznacza także aktywność w trosce o to, aby pluralistyczna zaśada światopoglądowa Frontu Narodowego wyrażała się ze strony katolików w wiernym doktrynie religii a twórczym społecznie wkładzie kulturalnym we współczesność”.

Z powyższego jasno wynika, że odmiennosc światopoglądową można uchronić od takich konsekwencji, które stanowiłyby godzące w interesy narodu jej nadużycie.

Znaczenie obrad siódmego plenum K.C. P.Z.P.R. i omówienie ich politycznej funkcji nie da się wyczerpać w ramach krótkiej notatki. Tych kilka uwag miało sygnalizować problem niestychnie doniosły dla wszystkich Polaków, rozumiejących kierowniczą rolę PZPR w kształtowaniu losów naszego narodu.

Równocześnie trzeba podkreślić, że obrady ostatniego plenum są dowodem spokoju, jaki naród nasz a w szczególności jego kierownicy zachowują wobec historycznej propagandy wojenne, szerzonej na Zachodzie. Spokój ten, płynący z poczucia siły i słuszności naszej drogi, umożliwił narodowi w ciągu ośmiu lat zbudować podstawy własnego dobrobytu. Jest on najlepszą odpowiedzią na propagandę agresorów i gwarancją dalszego rozwoju gospodarczego naszego kraju.

KIEDY w roku 1929 pisarz francuski, Duhamel powróciwszy z podróży po Stanach Zjednoczonych ogłosił swoje wrażenia w książce p.t. „Scènes de la Vie Future” zacytował, pełen troski, słowa amerykańskiego filozofa i krytyka, T. S. Barkera, który ubolewał nad traktowaniem literatury przez wydawców amerykańskich:

„Metody fabrykantów rozszerzyły się i na dziedzinę literatury i dziennikarstwa. Dzięki niesamowitej wprost sztuce amerykańskiej reklamy oraz zdolności sprzedawców, pracujących pełną parą, autorzy bez cienia talentu eksploatowani są równie chytrze i rentownie jak niektóre specyfiki farmaceutyczne przez ludzi, których by można śmiało nazwać handlarzami literatury”.

I zmartwiony Duhamel dodaje: „Widziałem sam jak tego rodzaju metody wylądowały w Europie zachodniej, jak poważni księgarze zachowywali się jak uliczni sprzedawcy czekolady i dropsów. Nadużycie zaufania klientów stało się dla nich rzeczą zupełnie naturalną a nawet poleconą”.

Tak było już lat temu z górą dwadzieścia. Dziś w ślad za generalami jak Eisenhower czy Ridgway, za pełnomocnikami planu Marshalla, za sforą dziennikarzy amerykańskich przywiązanych do NATO, SHAEF, czy jak się tam te atlantyckie sdróty nazywają, w ślad za potokami literatury „czarnej” i „żółtej” zalewającej zachodnią Europę, a może nawet przed nimi, jako forpoczty amerykańskiej kultury pojawił się zwłaszcza we Francji specjalny rodzaj literatury, ze specjalnymi przepisami na jej „produkcję”, reklamę i „dystrybucję”.

Cytujemy za „Gazette des Lettres” która wstydliwie przemilcza nazwę

# Beloyannis nie umrze

SPRAWA Beloyannisa falą protestów poruszyła cały świat polityczny. Zbrodnia rządu greckiego, skorumpowanego przez środki kapitalistycznej inspiracji amerykańskiego imperializmu, wstrząsnęła każdym uczciwie myślącym człowiekiem.

Odczytanie politycznego sensu tej zbrodni nie stanowi dla nikogo, kto potrafi trzeźwo myśleć, żadnej trudności. Wszystkie komentarze ludzi myślących właściwie w kategoriach moralnych i politycznych zgodne są w potępieniu bezprawnego aktu gwałtu dokonanego na greckim bojowniku o wolność i postęp.

„Esprit” z kwietnia bieżącego roku pisze:

Wyrok śmierci wydany na Beloyannisa i jego siedmiu towarzyszy wywołał tak szeroką falę protestów, jakich Europa nie pamięta od czasów procesu lipskiego w 1933 roku.

Od czasu procesu lipskiego...Istotnie, proces ateński przypomina wiele momentów tamtego sławnego procesu, będącego skutkiem pożaru Reichstagu.

Jakkolwiekbaż te radiogramy stanowią podstawę oskarżenia, jest jednak rzeczą ciekawą, że na czelnicę policji i kontrwywiadu, występujący jako jedyni prawie świadkowie w tym procesie, mało im poświęcają uwagi. Większość z nich wolała się rozwoździć nad uwagami ogólnymi o taktyce greckiej Partii Komunistycznej, a zwłaszcza powtarzać jako leitmotiv tezę generała Nicolopoulisa, szefa kontrwywiadu, który powiedział: „Sprawa sądzona dzisiaj stanowi część międzynarodowego mechanizmu komunistycznego, pracującego na korzyść obcego mocarstwa”.

Jest rzeczą charakterystyczną, że nikt ze „świadków” nie umiał wymienić żadnego faktu wskazującego, że Beloyannis i jego towarzysze brali udział w organizowaniu „akcji szpiegowskiej”.

„W tych warunkach jasne było, że trybunałowi nie chodziło o ustalenie winy lub uniewinnienie oskarżonych, a jedynie o przeprowadzenie pewnej akcji politycznej. O niesprawiedliwości wydanego wyroku świadczą najlepiej poruszenia jakie wywołał on w łonie samego rządu i wśród większości posłów.”

Jakże się więc stało, że rząd zawiodł pokładane w nim nadzieje opinii publicznej? Na to pytanie najlepiej odpowiedzieć potrafił ambasador Stanów Zjednoczonych w Atenach, M. Peurifoy, gdyż on to, wraz ze swym rządem ponosi największą odpowiedzialność za całą tę sprawę.

Znana jest wszystkim w Atenach kategoryczna interwencja p. Peurifoy w sprawie losu skazanych. Wiadomo również, że egzekucja odbyła się bez zawiadomienia właściwych ministrów. Sam p. Acheson nie zaważał się krytykować „tolerancji” rządu greckiego i zdać „wyjaśnienia” sytuacji.

„W chwili obecnej Waszyngton interesuje się jedynie sprawami o charakterze wojskowym (stał np. konflikt z rządem greckim o rozdzielanie kredytów amerykańskich a nawet o ustalenie budżetu). Grecja weszła do koalicji „atlantyckiej”. Amerykanie więc śpiesznie wyzyskują tę okoliczność. W tym celu potrzebny im jest rząd, który by zamiast zająć się złączeniem nędzy ludności greckiej i zaprowadzeniem prawdziwie demokratycznego ładu, spowodował zapanowanie „porządku” niezbędnego dla do brego funkcjonowania mechanizmu militarnego. Z tego też powodu, nie zachowując nawet pozorów, Amerykanie popierają „Zgromadzenie greckie” marszałka Papagosa, które jest partią czysto faszystowską. Dopiero w świetle tej sytuacji można osądzić sprawę Beloyannisa.

„Z drugiej strony, opierając się na niektórych z wyżej podanych faktów, sądzić można, że Amery-

kanie pragną stworzyć precedens, na który będą się mogli powołać stosując podobne metody w innych krajach.

Dlatego sprawa Beloyannisa jest sprawą powszechną, jest funkcją zagadnień o skali znacznie szerszej niż los niesprawiedliwie potraktowanej jednostki.

W połowie kwietnia roku bieżącego jeden z współpracowników „Quinzaine” przypominał o tym: Według danych oficjalnych jeszcze przeszło 30.000 Greków wędruje w ostatecznym wyczerpaniu na nagich skałach Mokrossos.

Wśród nich 2.000 żyje z zawieszoną nad nimi grozą wyroku śmierci.

Na podstawie jakich oskarżeń skazuje się tych ludzi? Jaka jest ich zbrodnia? Są przede wszystkim — i to się im wytyka — członkami Ruchu Oporu, przeciwnikami ustalonego nieładu, przeciwnikami istniejącej racji stanu i jej poczynaniom zgubnym dla dobra ogółu. Droga tych kar i procesów oskarża się ich ludzkie sumienie i sumienie całego narodu.

„Jesteśmy wszyscy przeciwnikami niesprawiedliwości społecznej, wrogami wojny, jesteśmy „oporni mi” w świetle ich racji stanu. A ponieważ społeczeństwo oparte na kłamstwie i nieładzie wymaga zakładników dla utrzymania swego mechanizmu tak przemianę dobru ogólnemu i dla wzbudzenia grozy wśród pracujących mężczyzn i kobiet, my jesteśmy tymi zakładnikami. Beloyannis był takim zakładnikiem; byli nim i towarzysze od Renault, i bez podstaw aresztowani Afrykańczycy, i Henri Martin i Jean Bernard Moreau...”

Śmierć Beloyannisa nie jest daremna. Stał się on ciągle już teraz żywym symbolem walki o wolność i postęp przeciwko imperiaлизmowi i kapitalistycznemu zakusom świata ludzi opętanych przez nienawiść wobec wolności i postępu. Dlatego Beloyannis — rozstrzelany o niedzielnym świcie dnia 30 marca 1952 roku — nie umrze.

# Literatura jako towar

znanego literackiego tygodnika francuskiego, którego redakcja wystosowała do swych współpracowników następujące „wytyczne”: „Wytyczne dla PP. Powieściopisarzy chcących współpracować z naszą redakcją”.

A oto treść:

„Redakcja zwraca się do PP. Powieściopisarzy z prośbą by w pisaniu powieści dla naszego pisma kierowali się wyłącznie niżej podanymi zasadami. Zasady te zostały sprawdzone przez naszych kolegów w Stanach Zjednoczonych i doprowadziły wielu z powieściopisarzy amerykańskich do sławy i fortuny. Książki ich rozchodziły się w milionach egzemplarzy. Zasady te zostały specjalnie przystosowane do potrzeb rynku francuskiego. W razie ignorowania podanych niżej wytycznych, maszynopisy będą przez naszą redakcję bezwzględnie odrzucone.

Pismo specjalizuje się w dwóch rodzajach powieści.

a) Powieść w piętnastu odcinkach

W tych powieściach i opowiadaniach motorem działania winna być wyłącznie miłość. Na pierwszy plan winien wysunąć się mężczyzna-bohater.

b) Powieść w dziesięciu odcinkach

W tego rodzaju powieści motorem akcji winna być kobieta. Sprawa musi się tu toczyć koniecznie wokół dwóch głównych i wiecznych tematów: kopciuszek wychodzi za mąż za księcia albo księżniczka za pastuszkę. Akcja winna się toczyć w atmosferze nowej, malowniczej, głębiej luksus sąsiadował z biedą — ale nie z nędzą — i stwarzał gwałtowne kontrasty.

Ogólne zasady stosujące się do obydwu rodzajów powieści

- 1) Każdy rozdział czyli odcinek winien zawierać 30.000 znaków piśmarnych — ściśle 30.000 — inaczej mówiąc 20 stron maszynopisu.
- 2) Rozdziały powinny być wypełnione akcją i perypetiami. Każdy nowy obraz powinien być oddzielony od poprzedniego trzema gwiazdkami.
- 3) Tytuł. Najlepsze tytuły są w rodzaju amerykańskim, czyli stanowiące pełne zdanie w rodzaju: „Nie ma orchidei dla Miss Blandish” albo „Nieznamy puka przed wejściem”. (1)
- 4) Należy w pierwszych dwudziestu czy czterdziestu wierszach przykuć uwagę czytelnika. Każdy odcinek powinien pozostawić go w niepewności i oczekiwaniu.
- 5) Nie wolno otwierać mózgu bohatera lub bohaterki aby dowiedzieć się co myśli. Inne osoby mogą być widziane i sążone tylko oczyma bohatera lub bohaterki.
- 6) Niech każdy bohater reaguje w sposób zawodowo zróżnicowany na wypadki. To znaczy, że wobec jednego i tego samego faktu czy zjawiska inaczej zachowa się maszynistka, inaczej utrzymanka a inaczej nauczycielka ludowa.
- 7) Trochę erotyzmu nie zaszkodzi ale żadnych mordów seksualnych. Wszelkie zboczenia mogą być pokazane ale nie pogłębiane ani analizowane.
- 8) Pewne wnioski natury ogólnej i filozoficznej są dopuszczalne ale bez żadnej zbytecznej głębi. To znaczy, tak samo jak zbytnia fachowość opisów.

9) Najważniejszą sprawą jest stworzenie klimatu silnej emocji i wzruszenia. Tego nigdy nie jest za wiele. Emocja winna wpływać z faktów sucho podanych. Może to być również szok psychologiczny w rodzaju „szkockiego tuszu”.  
Na przykład: Młoda matka szaleje z rozpaczy bo jej maleństwo jest ciężko chore. W połowie nocy zaczyna nabierać otuchy bo stwierdza, że dziecko jest spokojne i nie ma gorączki. Zbliża się do niego i dotyka je. Dziecko jest już zimne i zeszywniałe!

10) Każdy rozdział winien być dostarczony redakcji w dwóch egzemplarzach wraz z notatką opisującą najważniejsze występujące w nim osoby oraz ze streszczeniem rozdziałów poprzednich nie większym niż 25 wierszy”.

Chyba każdy komentarz jest zbędny. Ale taka literatura nie może budzić w nas otuchy i nadziei. Nie warto zbliżać się do niej i dotykać jej. Wiemy i tak że jest „zimna i zeszywniała”.

(1) Niestety ta metoda przyjęła się jak o tym świadczą takie tytuły jak „J'irais cracher sur vos tombes” (Pójdę pluć na wasze groby) Bovis Viana, albo „Des couteaux dans un soutien-gorge” (Noże w biustonoszu) Audiberti'ego.

## Gwiazda

redakcja „Dziś i Jutro”  
poszukuje  
przedwojennej powieści  
Tadeusza Brezy p.t.

„ADAM GRYWALD”

Dominik HORODYŃSKI

# PRÓBA PRZEMOCY

O BECNA polityka amerykańska i sposób postępowania Amerykanów w całej dostępnej im części świata staje się tak poważnym zagrożeniem dla losu ludzkości, że zmusza każdego myślącego człowieka do zastanawiania się nad przyczynami, które sprowadziły Stany Zjednoczone — niegdyś kraj relatywnej wolności — do ich dzisiejszej ponurej roli, zmusza do ciągłego zastanawiania się nad środkami jakie wszystkie narody i wszyscy ludzie winni zastosować, aby udaremnić nową próbę przemocy, próbę następującą w parę lat zaledwie po straszliwym eksperymencie podjętym przez Hitlera.

Sprawa ta jest kluczowym zagadnieniem bieżącej chwili, gdyż wiąże się ściśle z najważniejszym problemem ludzkości, pytaniem, dławili miliony ludzi na całym świecie: wojna czy pokój? — Czyby nie obecne oblicze Ameryki, pytanie to nie dręczyłoby mieszkańców ziemi i wspaniałe możliwości, którymi dysponuje współczesny człowiek służyły by w całej swej potęgę upiększaniu życia nie zaś, hańbiącemu godność rozumu ludzkiego, szykowanemu zagładzie. Dlatego publicystyka krajów europejskich, w tej liczbie krajów będących w dyspozycji amerykańskiej, coraz powszechniej i coraz poważniej zajmuje się tym właśnie zagadnieniem. W piśmie polskich coraz więcej publicystów analizuje stan zagrożenia wywołany przez Amerykę i nie powinni oni zaprzestać uświadamiania społeczeństwa, gdyż nie ma groźniejszego dla narodów jak fałszywe widzenie rzeczywistości i fałszywe o niej wyobrażenie. Młot o „dobrych” Ameryce jest dzisiaj mitem najniebezpieczniejszym.

Tempo w jakim Ameryka przekształcała swe oblicze, tempo w jakim stała się kuźnią faszyzmu i militarizmu jest tak wielkie, że naprawdę wyobraźnia nie wszystkich ludzi zdolna jest za nim nadążyć. Nie dziwny się więc, że i w Polsce w niektórych środowiskach przetrwał mit o dobrym wujku Samie, młot umiętnie podsycany przez „Głos Ameryki” i jego filie, ale nie dziwiąc się pamiętajmy, że młot ten musi być przez nas rozwalany. Jego obecność jest jak trujący czad w mieszkaniu: trzeba wietrzyć i otwierać okna.

Chcąc podzielić się paroma refleksjami na temat tego zagadnienia, sądzę, że zrobię słusznie odwołując się do moich osobistych wrażeń i wspomnień. Byłem w Ameryce. W roku 1947 spędziłem tam kilka miesięcy i trochę poznałem ten wielki i bogaty kraj. Podziwiałem ogromne osiągnięcia cywilizacyjne Ameryki i pracowitość jej mieszkańców. Zrozumiałem, że i tam — jak w każdym kraju w którym się jest trochę dłużej — spotkam ludzi godnych szacunku i przyjaźni. Zrozumiałem, że lud Ameryki, zdolny i odważny, wniósł ogromny wkład we wspólnie dzieło ludzkości i że jak lud wszystkich innych krajów chciałby żyć w spokoju i dostatku. I dziś — tak jak wtedy — to wszystko co piszę o zagrożeniu wywołanym przez Amerykę, nie dotyczy narodu amerykańskiego, gdyż ma on na pewno przed sobą równie wielką przyszłość jak wszystkie utalentowane i pracowite społeczeństwa. Ale już wtedy przybył z Europy muśnięty zauważyć, że ten wielki naród kierowany jest na manowce i że, niestety Amerykanie na skutek specyficznych warunków historycznych posiadają cechy ułatwiające kierowanie nimi w tym właśnie złąbny kierunku. Dlatego wtedy, przed

pięciu laty, mogłem napisać m. in.:

„W tej chwili Ameryka steruje w stronę specyficznego faszyzmu. Nie ma wodza, bo mentalność anglosaska tego nie potrzebuje i nie lubi; jest natomiast szef tajnej policji i bardzo sprawny aparat — a to na pewno ważniejsze. Dlatego tradycyjne hasła demokracji amerykańskiej nigdy nie były tak cenione i strzeżone. To nic, że nikt nie wie co znaczy „amerykanizm”, skoro każdy wie, że „anty-amerykanizm” jest karalnym.

Można komisyjnie badać prawomyślność obywateli, można uchylać ustawy antyrobotnicze, można umiejętnie organizować nastrój ulicy do zbudzenia przypominający w dniach pewnych uroczystości nastrój pierwszych obchodów sprzed 25 lat na Piazza Venezia w Rzymie — a równocześnie utrzymywać przywiązanie i wiarę w slogany, których treść oznacza co innego. W setkach tysięcy kin amerykańskich przed każdym filmem wyświetlane są krótkometrażówki będące propagandą is totum zresztą wspaniałych osiągnięć technicznych i materialnych Ameryki — na zakończenie łopoczą ogromne gwiazdzone sztandary, jest jakiś bojowy marsz i podniecony głos speakera: this is America! — Dreszcz przechodzi przez sąle, dreszcz poczucia siły i misji dziejowej — dreszcz, który może dać nieoczekiwane i nie do przewidzenia skutki.

W Ameryce rodzący się totalizm i poczucie Herrenvolku łagodzą takie cechy, jak wrodzony sens of humor, tradycyjny

zwyczaj publicznej krytyki osób rządzących i instytucji państwa wyci i wreszcie odziedziczone po przodkach z angielskiej wspaniałomyślności poczucie umiaru w sprawach publicznych. Ale wydaje mi się, że kraj ten jest dopiero na początku drogi, a droga którą wbrał tym się odznacza, że zwykle bardzo szybko się po niej idzie”.

CYTUJĘ ten fragment, bo może pomóc on czytelnikowi do zrozumienia zawrotnego tempa fałszywej Ameryki. Taką ją widziałem przed pięciu laty. Teraz byłem w Niemczech i nie mogłem uwierzyć, że ta spelunka spisku przeciwko Polsce i pokojowi, złowrogie gniazdo faszyzmu jakim jest Berlin zachodni, to już dokonane dzieło tych właśnie Amerykanów, w których kraju gościłem w czasie, gdy rozpoczynał on swą podróż w fatalnym kierunku. Istotnie po drodze faszyzmu idzie się z niewiarogodną szybkością. Szybkość tą podwaja i potraja świadomie aparat propagandowy współczesnego państwa. W Stanach Zjednoczonych w proces przyspieszający faszyzację wprężnięte jest nie tylko państwo. Wszystkie koncerny, a o sprawę ich właścicieli idzie, przedsięwzięcia się w pomysłowości. Film, prasa, radio, komiks i książki brukowe, wszystko to co organizuje świadomość mas spryskięło się przeciwko zwykłemu człowiekowi Ameryki i chce go przekształcić na wzór esesowca. Przed pięciu laty ogłoszony został Plan Marshalla. Dzisiaj, naiwny wówczas mieszkaniec Cincinnati czy St. Louis szczyrzy swą twarz barbarzyńcy w Phenianie, Berlinie i Paryżu, ogłupiony przez garstkę ludzi z pieniędzmi lecz bez

rozumu i sumienia, na serio i realnie zagraża przyszłości świata.

## SKUTKI OPÓŹNIONEJ ŚWIADOMOŚCI

AMERYKA płaci za swą zbyt łatwą historię. Była ona tak prosta i tak łatwo szła od sukcesu do sukcesu, że nie zmuszała do myślenia. Znakomity technik może być intelektualistą ale nim być nie musi. Ameryka rosła w powszechnym antyintelektualizmie. Dzisiaj nie przywykły do myślenia, pozbawiony wytrawnych przywódców lud amerykański zachowuje się jak plastelina w rękach głupich ale świadomych swych płaskich celów bosów wielkokapitałistycznych. Tragedią Ameryki jest brak starej kultury. Co to oznacza wiedzą najlepiej historyczne miasta europejskie deptane butem brutalnego barbarzyńcy.

Poziom t. zw. publikacji ideologicznych i koncepcyjnych prac politycznych rozchodzących się w olbrzymich nakładach w Ameryce i ogłaszanych jako wydarzenia „du chowe” jest wprost niewiarogodny. Rozważania ideologiczno-polityczne gwiazd oficjalnej ideologii amerykańskiej jak Burnham czy Kennan czerpią swe natchnienie z czasów jakiegoś Napoleona III i dla Europejczyka są właściwie najzupełniej nieczytelne. Jakaś przepaść doświadczenia historycznego i intelektualnego dzieli nasze widzenie świata od tych naiwnych, a równocześnie cynicznych i okrutnych mających ludzi, którzy nie rozumieją z drogi jaką ludzkość przeszła w ostatnich stu latach, którym obcy jest jakikolwiek zmysł historii. Ale ci ludzie, Kennan, Acheson i Eisenhower rządzą Ameryką i chcą swoją

wizję przyszłości narzucić całemu światu. Jakaż to jest perspektywa?

Ma być jeden świat, kosmopolityczny świat zorganizowany na zasadach technologiczno-ekonomicznych i techniczno-administracyjnych. Światem tym rządzić będą ludzie z koncepcyjami amerykańskimi. Zasadniczo ci wielcy menagerowie są jedynymi ludźmi jakimi interesują się ideolodzy przyszłości. Ale jacyś inni ludzie też przecież będą naszą uszczęśliwioną ziemię zamieszkiwać. Musi więc być stworzony jakiś ideał człowieka, wiadomo bowiem, że każda epoka i każda kultura miała taki ideał. Ukształtowaniem tego amerykańskiego ideału człowieka zajmują się już nie ideolodzy lecz inżynierzy, właśnie film, radio, prasa, telewizja, komiks dla młodzieży. Człowiekiem godnym przyszłości jest ten, kto umie być silny i brutalny, kto potrafi odnosić sukcesy i zdobyć rzecz najważniejszą w życiu: prawo do bogactwa i luksusu, własny jacht i tygodniową miłość gwiazdy z Hollywoodu.

Śmieszne i pogardzane są nasze europejskie ideały; uważa się za starcze gadanie podkreślanie wartości takich rzeczy jak solidarność między ludźmi, jak radość wspólnego budowania wspólnej przyszłości, jak cnoty poświęcenia i ofiarności, jak widzenie piękna i dobra w drobnych, codziennych ludzkich sprawach.

Możnowładcy amerykańscy nie żałując pieniędzy, wynajmują gościeli swej ideologii spośród mieszkańców zachodniej Europy. Oto co napisał w 1951 r. jeden z nich, tłumaczony przed wojną w Polsce dr Alexis Carrel:

„We Francji ogromna ilość bezrobotnych to ludzie zbyt głupi, nieinteligentni czy chorzy, aby móc pracować... Przez jakiegoś zbroczone umysłowe dba się więcej o chorych, słabych i okaleczonych niż o silnych... Higiena i medycyna okazały się pozbawione mądrości, gdyż pozwoliły na rozmnażanie się słabych, chorych i zdegenerowanych”.

Tych parę słów „uduchowionego” agenta amerykańizmu we Francji wyjątkowo jasno odsłania społeczne korzenie ideologii siły. Garstka imperialistów w oparciu o grupy „silnych” (no i bogatych) z uzależnionych krajów, przy pomocy syrenich śpiewów różnych „ideologów” i „filozofów” chce podporządkować sobie cały świat. Wtedy silni będą się rozmnażać a słabi będą pracować. Piękna koncepcja, piękna moralność. O coś takiego warto rozpoznać wojnę.

## PRÓBA PRZEMOCY

DOPÓKI istnieje ZSRR i zgrupowane wokół niego państwa budujące socjalizm, dopóty ani Francuzi ani Włosi, ani Niemcy ani Japończycy nie mogą być traktowani jako element pewny. Co gorzej i w samej Ameryce ogłupia niu lud może zorientować się, w jaką awanturę jest wciągany. Dlatego wojna jest jedynym wyjściem. Wojna wygrana, to koncentracja władzy, wyłączenie w dysponowaniu energią atomową a tym samym utrwalenie raz na zawsze po dziełu na silnych i słabych, to raz na zawsze koniec z wszelkimi problemami społecznymi i narodowymi. To wliczyny amerykański „One World”.

Ameryka sama nie może prowadzić wojny. Niezbędne jej są najmne wojska zachodnio-europejskie. Jak zmusić narody Europy, (Dokończenie na str. 7)

## »GODZINA KULTURY FRANCUSKIEJ«

RADIO paryskie nadaje codziennie od godziny 8 do 9 rano słuchowisko p. t. „Godzina kultury francuskiej”. Prastara, przodująca światu od wieków kultura: nauka, literatura, muzyka, malarstwo, rzeźba, teatr, film... temat przebogaty. Od chwili kiedy dyktatorem państwowego radia francuskiego został ambasador Stanów Zjednoczonych, David Bruce, program tej audycji układał jest przez funkcjonariusza ambasady amerykańskiej, a nominalny dyrektor radia, obywatel francuski, nie ma w tej kwestii nic do powiedzenia.

Wystarczy wziąć do ręki pierwszy lepszy program. Oto np. 25 stycznia b.r. w ramach „Godziny kultury” wiele obiecujący tytuł: „Najbliższa przyszłość kultury francuskiej”... Dowiadujemy się z tego programu, że p. Pierre de Lanux mówił będzie o aktualnych problemach narodu amerykańskiego, p. Albert Sarraut o zadaniach Stanów Zjednoczonych na Dalekim Wschodzie, p. André Mayer o cywilizacji atlantyckiej, p. Samy Simon o muzeum sztuki i rzemiosła w Chicago, p. René Plevin wygłosi zakończenie, a p. David Bruce ostatnie słowo.

To wyczerpanie propagandowych tematów audycji, zarówno jak i nazwiska osobistości biorących w niej udział nie wymaga chyba komentarzy. Udział w zwykłej audycji kulturalnej ówczesnego premiera Francji, p. René Plevina świadczy wymownie, jak wielką wagę przywiązują do tego rodzaju słuchowisk okupacyjne władze amerykańskie i jak wielką jest potęgą propagandy amerykańskiej.

Mimowoli nasuwa się porównanie z postawą kolaborantów w czasie okupacji. Nie sposób jest nie podkreślić zupełnej amerykańskiej francuskiego radia państwowego, jeśli się weźmie pod uwagę, że wyżej przytoczona audycja była dwudziestą z rzędu, gdyż już 14-go grudnia ubiegłego roku również w ramach „Godziny kultury francuskiej” p. Georges Scelle wygłosił przemówienie o pakcie atlantyckim, Amerykanin Schneider mówił o roli USA w ONZ i w UNESCO, p. Geneviève

Tabouis o publicystyce amerykańskiej a M. de Lanux o konflikcie rosyjsko-amerykańskim.

Codziennie informacje podawane wprost ze Stanów Zjednoczonych przez „Głos Ameryki” i „Godzina kultury francuskiej” poprawiona i sprofilowana à l'américaine wydają się jednak niewystarczające propagandzie amerykańskiej — muzyka powinna również służyć jej celom. Tegoż samego 25 stycznia o godz. 7.30 mamy w programie utwory symfoniczne muzyków amerykańskich w wykonaniu orkiestr amerykańskich.

✱

Pod naciskiem obcego mocarstwa przeciętno jedna trzecia programu dziennego t.j. 4 1/2 godz. poświęcona jest propagandzie wojennej. Do audycji bowiem czysto amerykańskich trzeba tu dodać wiadomości Dziennika „Magazine” Unii Francuskiej i Trybunę Paryża. Propagandę przeprowadza się bardzo sprytnie... Np.: Trybuna Paryża ogłasza ankietę na temat kryzysu kinematografii francuskiej. Co robi p. Emil Dana, przewodniczący dyskusji, ażeby przemilczeć inwazję filmów amerykańskich, będącą podstawową przyczyną kryzysu? Po prostu wywołuje dyskusję „obok” tematu. Producentom filmowym i rzeczoznawcom stawia pytanie: „Czy przyczyną kryzysu kinematografii francuskiej są zbyt wysokie gaże płacone artystom filmowym?” Nie pyta się ich: „Dlaczego powstał kryzys?” (ambasada amerykańska zabroniła tego pytania) lecz: „czy przyczyną kryzysu nie jest zbyt wysoka gaża płacona pani Marri Robinson, lub zniszczone i niewygodne fotole w salach kinowych, a może to, że przeciętny Francuz woli fajkę na świeżym powietrzu od filmu?”

Dyskutantom nie przychodzi nawet na myśl, że są wciągani w operację dywersyjną, mającą na celu odwrócenie uwagi od istotnych przyczyn kryzysu kinematograficznego. Z ogromnym zapalem i przekonaniem zwołują wywody podstawione przez propagandę amerykańską prowokatora, nieznanego nikomu dziennikarza, który twierdzi bez przekonania

i wbrew prawdzie, że olbrzymie gaże artystów są przyczyną obecnego upadku przemysłu kinematograficznego we Francji. Nieliczni tylko dobrze poinformowani wiedzą od dawna, że przyczyną kryzysu są układy Blum Byrnes.

✱

O D OŚMIU miesięcy, raz na tydzień, w ramach tej samej „Godziny kultury francuskiej” panowie z propagandy amerykańskiej sławia zasługi paktu atlantyckiego i polityki Stanów Zjednoczonych. Ten etap wojny psychologicznej polega na sugerowaniu odbiorcy francuskiemu, że te tylko narody i państwa są cywilizowane, gdzie kwitnie prywatna inicjatywa. Inni? Barbarzyńcy, dzikusy, analfabeci, ludzie bez „idei” (modne słowo!)

✱

TEGO wszystkiego jednak za mało. Jest jeszcze dział „wielkich reportaży”. W końcu stycznia radio paryskie rozpoczęło nadawanie o godz. 19.30 serii reportaży pod wspólnym tytułem „Trójkolorowa rapsodia”. Nie chodzi tu bynajmniej o kolory flagi francuskiej, lecz o barwy rasizmu amerykańskiego: czar ny, biały, czerwony. Trzej panowie: Serge Groussard, Michel Droit et Samy Simon (który po powrocie z Chin z dumą oświadczył: „Nie pojechałem do Chin, żeby zrozumieć”) opowiadają swoje wrażenia z podróży po Stanach Zjednoczonych. W szeregu reportaży p. t. „U Indian z Arizony”, „U czarnych w Nowym Orleanie”, „W Chicago” i „U drwali i jeźdźców Dalekiego Zachodu” starają się przekonać słuchaczy, że rasizm amerykański to jedynie wymysł złych ludzi, i że wszystko w Ameryce kończy się śmiechem i piosenką. Spełniają w ten sposób polecenia swych amerykańskich mocodawców.

Dyktatorem radia paryskiego jest ambasador David Bruce, a sprawa kultury francuskiej jest jego sprawą — audycja z 25 stycznia pt. „Najbliższa przyszłość kultury francuskiej” wyjaśniła nam to niezbicie.

Janina KOLENDO

# Czy rzeczywiście „towar na eksport”?

Trzeci prezydent Stanów Zjednoczonych, Thomas Jefferson pisał do J. Monroe'go w 1823 r. o Europie:

„Oto narody w wiecznej wojnie. Cała ich energia zużywa się na niszczenie pracy, dorobku i życia społeczeństw. Jeśli chodzi o nas (Amerykanów) nigdy ludność nie miała tak sprzyjającej szansy wypróbowania systemu innego: pokoju i braterstwa z innymi, oraz kierowania wszystkich naszych środków i możliwości dla celów rozwoju zamiast zniszczenia”.

W STANACH Zjednoczonych spędziłam drugą połowę 1947 roku, kiedy nabrało już rozpędu wykłaskiwanie postępowych jednostek jako przedstawicieli „antyamerykanizmu”. Określenie to już wówczas

jest: osiągnąć prosperity, powodzenie. Stopień zbliżenia się do tego celu jest kryterium wartości człowieka, sprawdzalnym dla niego samego i dla jego otoczenia przez obszarwanie.

Tak „bezkompromisowe” ustawienie celu kształtuje strukturę życia wewnętrznego oraz działania jednostki i społeczeństwa. W tak pojętym światopoglądzie najstraszniejszym przewinieniem, burzącym podstawy ładu społecznego staje się bezinteresowność, a świętą tego systemu mogłaby być Scarlett O'Hara.

Tylko w tych kategoriach można zrozumieć specyfikę myślenia członków poszczególnych wyznań, którzy chcą ustawić obok siebie „prosperity” i cel pozaziemski człowieka. Ta chęć niesie za sobą ograniczenie spraw wiary do dni odświętnych i pozostawianie reszty dni tygodnia w liberalnej niezależności od tamtych.

po prostu — to nie popłaca, te dziedziny zainteresowań trzeba zostawić życiowym niedołęgom, których los z góry skazany jest na przegraną. Oto pogląd stanowiący pewną formę prymitywnej samoobrony, pogląd który zrodził cały kompleks cech jednostronnie i hamująco działających na rozwój wewnętrzny.

Cechą, która narzuciła się w sposób bezapelacyjny jest spłycenie życia umysłowego. Nie trzeba zapominać, że poważna ilość najwybitniejszych ludzi kultury została na takich czy innych zasadach sprowadzona do Stanów Zjednoczonych już po osiągnięciu sukcesów w Europie i że nie wypłynęli oni z naturalnej eliminacji ośrodków rodzimych. Zresztą, próba tego szkicu obejmuje jakąś przeciętną umysłową możliwość Amerykanów, nie jej najwyższe i najniższe krańce. Bez wątpienia Ameryka posiada dziś w sobie elementy intelektualne i społecznie postępowe, posiada ośrodki robotnicze, świadome swej klasowej odpowiedzialności. Nie wolno o tym zapominać. Teraz jednak oszczędzamy klasyczny, obowiązujący styl życia i myślenia, a nie to wszystko, co jest opozycją przeciw niemu wewnątrz amerykańskiego społeczeństwa.

Będzie tu tylko przykładem, że ze znanych w Europie amerykańskich pisarzy tylko London i Mark Twain należą do autorów, których się w Ameryce czyta. Twórczość Dreisera, Hemingwaya, Faulknera, Uptona Sinclaira, Sinclaira Lewisa i Poe'go docierała i w głębszy sposób, i do szerszych kręgów czytelniczych raczej poza Ameryką, niż tam gdzie się zrodziła. Przekroczyli oni bowiem dozwolone, rozsądne granice pasji autorskiej, męczyli czytelnika, kazali mu myśleć, i za ten proces mu nie zapłacili happy endem; wyprowadzali z zaczarowanego kraju uludy.

Tych granic nie przekraczają zato książki z gatunku popularnej beletrystyki, których sprzedaje się 60.000.000 egzemplarzy miesięcznie. (The Commonwealth, 20 maja 1945). One odpowiadają potrzebom duchowym szerokiego czytelnika. Wyraża się w nich chęć zdobywania na bardzo łatwej drodze jakiejś niby wiedzy o człowieku, o świecie, a stają się one rodzajem umysłowego samobójstwa.

Tym samym wymaganom odpowiadają rewie, które zastąpiły teatr, filmy, tysiączne nowelki i opowiadania w ilustrowanych magazynach oraz audycje radiowe. (Któż nie pamięta katastrofalnego popłochu w związku ze słuchowiskiem o napadzie Marsjan na ziemię?)

Brak krytycyzmu stworzył zaufanie do reklamy, które stało się podstawą do działalności w niespotykanych nigdzie rozmiarach, działalności obejmującej nie tylko sprawy handlowe, ale nieraz i religijne. Wykorzystanie tej naiwności stanowi proceder oghupiania ludzi, kierowania ich dochochem, ideologią wreszcie, w taki sposób, że nie zdają sobie sprawy z faktu, że tą drogą sami jeszcze bardziej ograniczają samodzielny wysiłek w dochodzeniu do jakichkolwiek ocen i przekonań.

Jednakże takie zakłamanie w rozwoju wewnętrznym człowieka stwarza zupełnie specjalną dla niego problematykę. W momentach, kiedy zostaje sam z sobą, zjawia się przeżycie absolutnego znudzenia. Ten pierwszy etap niepokoju trzeba zabić. Stąd wypływa potrzeba ciągłej zmiany miejsca, ruchu, dla samego procesu pokonywania przestrzeni, który pochłania uwagę, stąd bezustanne nastawianie radia i chęć przebywania w możliwie najliczniejszym i najgłośniejszym towarzystwie. (Jak ina-

czej wytłumaczyć powodzenie jednej z plaż w okolicy New Yorku, gdzie na niedzielę zjawia się trzy miliony ludzi?) Wszystkie te starania aby czerpać przeżycie z zewnętrznego świata, mają zastąpić niewdzięczny trud czerpania ich z własnego wnętrza.

Amerykańska koncepcja życia utrudnia panowanie prawdziwej miłości czy wiernej przyjaźni. Zastąpi je łatwo tanie koleżeństwo, które nie wiele wymaga, nie stwarza zadań, nie rozwija człowieka. Zanika sens lojalności wobec zasad ponadjednostkowych, z jednym wyjątkiem: poczucia wspólnoty interesów własnej grupy społecznej a więc w rezultacie swoich.

Ale na marginesie życia występuje tęsknota do przeżyć, do których w rzeczywistości nie są zdolni i poszukiwanie wrażeń, które by w jakiś sposób zmniejszyły ośchłość wewnętrzną.

Zjawia się więc sentymentalizm, usprawiedliwiony jedynie u pensjonarek i wówczas wrzuszający — ale u Amerykanów trwa on do późnych lat, do śmierci. Jest niekosztowny, a stwarza pozory urody życia. W ich erotyzmie jest więcej dziecinnego podejścia do zakazanych spraw niż prawdziwej pasji zmysłowej. Głód sensacji i ostrych wstrząsów znajduje zaspokojenie w czytaniu kryminalnych romansów i opowiadań o duchach i zjawach, w podniecaniu sensami spirytystycznymi i odwiedzinach u jednego z 25 tysięcy praktykujących astrologów, lub „psychoanalitików”, którzy żerują na zainteresowaniu „psychologią głębi”.

EDGAR LEE MASTERS

## Epitafium

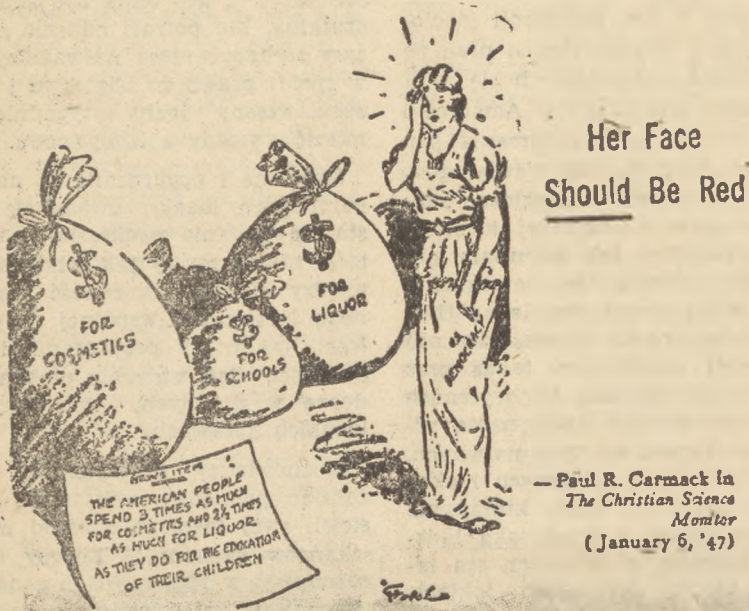
BENJAMIN PANTIER

Tu spoczywają spodem Benjamin Pantier — notariusz  
I jego pies Nig, wierny druh, towarzysz i jedyna pociecha.  
Przyjaciele, dzieci, kobiety, mężczyźni uchodząc szarą koleiną  
Po jednym, aż za kres życia, zostawili mnie tu samego  
Z Nigiem, współnikiem łoża i posiłków.  
W zaraniu życia poznałem przebliski sławy i żywiłem wielkie ambicje  
Lecz ta, która umiała mnie przeżyć, zamknęła mą duszę w klatce  
Raniąc ją przy tym śmiertelnie.  
I ja, niegdyś tak dzielny, przygasłem, zubożyłem, zubożyłem,  
Żyjąc jedynie z Nigiem, w ciemnym kącie za biurkiem.  
Pod moją brodę wtulił się pysk kościsty Niga.  
Zatraceni jesteśmy w ciszy. Mijaj nas, świecie szaleńcy!

PANI BENJAMINOWA PANTIER

Wiem dobrze, że opowiada, jakobym jego duszę  
Zamknęła w klatce, raniąc ją przy tym śmiertelnie  
I jakoby mężczyźni przepadali za nim  
A wszystkie kobiety nad nim się użalały.  
Lecz proszę sobie wyobrazić, że ktoś jest wykwinną damą,  
Która nie znosi zapachu whisky i czosnku,  
Dla której ucha rytm ody Wordswortha jest poprostu rozkoszą  
Kiedy tymczasem on od rana do zmroku  
Powtarza w kółko takie oto bezsensowne zdanie:  
„Czy umysł śmiertelnych ma prawo wzbijać się w dumę?”  
I proszę jeszcze przypuścić  
Że ta kobieta jest bardzo utalentowana  
I, że jedyny człowiek z którym moralność i prawo  
Zezwalała na współżycie małżeńskie  
Jest właśnie tym, który w niej budzi wstręt  
Ileż o nim pomyśli, a musi o nim myśleć  
Ileż o nim spojrzeć.  
Oto dlaczego wygnałam go z domu  
I zamknęłam, razem z psem, w kącie,  
Za biurkiem przyjęć.

Przekład Stanisława Bogusza



— Paul R. Carmack in  
The Christian Science  
Monitor  
(January 6, '47)

Społeczeństwo amerykańskie wydaje 3 razy więcej pieniędzy na kosmetyki i 2 1/2 raza więcej pieniędzy na trunki niż na szkolnictwo.

zaczęło wzbudzać niepokój i najbardziej sprzeczne oceny. Większość oskarżonych o „antyamerykańskość” to ludzie, którzy w jakikolwiek sposób podważali pojęcie amerykańskiego stylu życia, „american way of living” jako narodowego ideału.

Nieraz uważa się, że ten styl życia to: Coca-Cola, guma do żucia i nogi na bicurku podczas urzędowania. Jest to ogromne uproszczenie, zresztą — jeśli mają ochotę pić Coca-Cola, niech sobie piją, skoro im smakuje; żucie gumy z pewnością jest mniej szkodliwe niż palenie papierosów; a nogi na stole w jakiejś mierze może usprawiedliwić 30 proc. wilgotności w powietrzu przy temperaturze ponad czterdzieści stopni — bardzo wtedy puchną stopy.

Poznanie od wewnątrz życia ludzi z bardzo różnych środowisk, wielogodzinne z nimi rozmowy pozwoliły mi na ocenę pobudek ich działania i dążeń. Niemniej, nie podejmuję się próby syntezy, poprzestając na pewnym uszeregowaniu materiału analitycznego, który pozostał w notatkach z tamtego czasu. Dlatego też szkic niniejszy nie ma innych ambicji, jak tylko chęć podzielenia się z innymi własnym notatnikiem.

Sądzę, że może ułatwić on wyciągnięcie właściwych wniosków w tym czasie, kiedy to rząd Stanów Zjednoczonych, czerpiąc zachodniej Europejskie zasady „american way of living” chce je reklamować jako ideały, za które warto, co więcej — trzeba walczyć, za które warto — co więcej — trzeba ginąć.

Jak przeciętny Amerykanin pojmuje cel swego życia? Mówi się często, że w Ameryce celem życia stał się dolar — ale opinia ta jest chyba niesłuszna. Celem życia każdego „rozsądnego człowieka”, (a kóżby się w Ameryce za takiego nie uważał?)

Dni powszednie służą prywatnym sukcesom życiowym. Jest rzeczą naturalną, że podział ten musi prowadzić do hypokryzji. Droga nie może być najeżona trudnościami natury moralnej, bo cały wysiłek psychiczny koncentrować trzeba na podwyższeniu sumy rocznego dochodu. W tym miejscu zjawia się problem pieniądza, wszechmocnego środka do osiągnięcia awansu.

W tak ustawionej hierarchii wartości stosunek człowieka do Boga, do innych ludzi i do siebie samego nabiera szczególnych barw. Praktycznie przestaje istnieć krzywdą drugiego człowieka jako granica dozwolonego dążenia do poprawy własnego bytu. Szacunek człowieka do człowieka wyraża się w niekosztownym uśmiechu, stałym i niemal automatycznym, pod którym — w razie istotnego konfliktu odkrywa się wyrachowanie. Ono staje się sui generis roztropnością i wyniesione jest do rzędu cnót. Życzliwość dla otoczenia musi być w wewnętrznej zgodności z interesem, ale nie musi wytrzymać próby ofiary, wyrzeczenia się, rzeczywistego dzielenia się własnym dobrem.

Przykazanie chrześcijańskiej miłości bliźniego ratuje się aktami filantropijnymi, daje się z tego, co zbývá. Czyni to wrażliwe okupowania własnej pomysłowości a stwarza niejednokrotnie okazję do zetknięcia się z ludźmi „wyżej stojącymi”, okazję niemal jedyną, ponieważ życie towarzyskie skupia się w bardzo zamkniętych kręgach.

Doświadczenie wyniesione z życia pokoleń, które budowały ustrój kapitalistyczny, nauczyło, że człowiek dążący do prosperity nie powinien rozwijać swych szerszych zainteresowań, gdyż daje mu to wyłącznie rozproszenie i osłabienie jego zdolności przebijania się przez życie, mówiąc

Zygmunt LICHNIAK

# »BYKIEM« W KULTURĘ

SZOFRER przymrużył lewe oko i zahamował. Pokazał kciukiem prawej dłoni barwny kiosk, jak gdyby nawiązując do rozmowy, którą zaczęliśmy jeszcze przed Brandenburger Tor. Rozmowa dotyczyła — mówiąc pompatycznie — kulturalnej inwazji Amerykan na Europę zachodnią. Mówiąc po prostu: chodziło o pokazanie nam tych draństw i świństw, którymi Yankesi zapaskudzą życie kupcowanych przez siebie stref, życie krajów obdarzonych wspaniałomyślnie bogactwami zaatlantyckiej kultury.

Wysiedliśmy. Pani z kiosku uśmiechnęła się życzliwie. Panie z okładki pism uśmiechały się kusząco. Jedna usiłowała upięścić-noną dłoń zakryć to, co było ubrane tylko w muslinowy welon.

kach, „Sexal” w pigułkach i płynie. Działo podobno natychmiast. „Vollendete Liebeskunst” i „Liebe ohne Furcht” — książeczki na wszelki wypadek. „Für reife Män-schen”, „Unter vier Augen” — kie-szonkowe i specjalnie pikantnie spreparowane vanderfeldy. Nie trzeba tłumaczyć. Szmira porno-graficzna ma swoje esperanto. Nawet mały chłopczyk zrozumie.

### PRZYPOMNIENIE KONIECZNE

WŁASNIE dlatego trzeba tłumaczyć. Bo czasami nawet stary „zjadacz kultury” może się zagubić.

Tamten chłopiec z zachodniego sektora Berlina, kupujący makabryczną, pięćdziesięciofenigową historię pt. „Płynna Zaraza” nie jest

dów Listerów i Buffalo Billów, u-marła Błękita Morderczyni.

Może jest jakiś związek między ich śmiercią czy zniknięciem a śmiercią ustroju, w którym robili karierę? Może to nie wpływ pogody, ale wpływ odmiennego kierunku polityki kulturalnej sprawił, że uwiędły te szmatławie ramoty? Może ich śmierć łączy się z narodzinami nowego widzenia wielu spraw, nowego wskaźnika doznań i przeżyć, nowych sugestii i nowych inspiracji? Może nie jest rzeczą przypadkową, że kryminały bujnie przysięgają się tam, gdzie drapieżne łapy wyciąga po człowieka ustrój kapitalistyczny? Może nie przypadkowy wskaźnik gustów, lecz żelazne prawo konsekwencji ustrojowej, politycznej i historycznej tłumaczy to zjawisko?

Niech niby delikatna ironia powyższych pytań retorycznych uwyraźni zawartą w nich prawdę merytoryczną. A łopatologiczne wywody niech zastąpi lakoniczne powiedzonko łacińskie: sapienti sat. Co się wyklada w naszej mowie ojczystej: wystarczy pomyśleć, aby się domyśleć. Lub prościej: mądryemu dość pałką w łeb.

### HISTORIA ŻÓLTEGO CHŁOPCYKA

WYSTARZY przypomnieć historię żółtego chłopczyka, aby domyśleć się, jakie zasadnicze siły kształtowały to, co się nazywa w języku kapitalizmu amerykańskiego strawą kulturalną dla mas. Oczywiście, żółty chłopczyk jest tylko epizodem. Oczywiście, comicsy to tylko fragment, ułamek wielkiego zagadnienia. Oczywiście, żółty chłopczyk jest publicystycznym uogólnieniem. Ale żółty chłopczyk jest także faktem. Historycznym faktem. I symbolem. To, co się z nim działo, wiele wyjaśnia. A co się działo — opowiem.

Pod koniec XIX w. wynaleziono nową farbę drukarską. Żółtą farbę. Postanowił ją wypróbować w swoich drukarniach wielki magnat prasowy i znany wówczas dziennikarz Joseph Pulitzer. Był akurat w pełni walki o nakład. Akcje „New-York World” rosły. Mr. Pulitzer zaprzęgnął prześcignąć Mr. Hearsta. Mr. Pulitzer porozumiał się z rysownikiem. Rysownik Mr. Richard Outcault wymyślił dla Mr. Pulitzera żółtego chłopczyka. Ujrzał on światło dzienne w roku 1896. Zyskał natychmiast niesłychaną popularność. Hearst się przestraszył. Kupił Mr. Outcaulta razem z żółtym chłopczykiem. Pulitzer się przestraszył. Podbił cenę. Kupił znowu żółtego chłopczyka razem z Mr. Outcaultem. Żółty chłopczyk stał się sławny. Czytano pismo dla żółtego chłopczyka. Żółty chłopczyk nie zmuszał do myślenia. Hearst synął dolarami. Żółty chłopczyk znowu przeszedł na jego stronę. Pulitzer nie wytrzymał licytacji. Zrezygnował z walki o żółtego chłopczyka. Ale wpadł na isle genialny pomysł: przecież może być dwóch żółtych chłopczyków! Znalazł innego rysownika i ocalił pismo.

Tak się zaczęła „komieczna” historia comicsów.

Żółte chłopczyki zaczęły się mnożyć. Każdy z nich rósł, męźniał. Zmieniał kolor. Zmieniał obyczaj. Psikusy stawały się coraz wymyślniejsze. Ręce silniejsze. Colt, browning, lasso, rumak. Zamiast wykradania młodu z domu wuja Jima — kradzież brylantów z safu bankiera Mortona. Potem żółty chłopczyk, który stał się muskularnym supermanem zaczął dusić kobiety, rozbijać banki. Wraz z wzrostem jego uzdolnień rosła jego popularność. Comicsy zdobywały władzę nad umysłami i sercami dobrych panów kapitalistów i ślepych mieszczuchów. Gdy w roku 1933 „Ania — sierotka”, jedna z najpopularniejszych kreacji comicsowych, zgubiła swego pieska Sandy, sam Henryk Ford zatelegrafował do rysownika: Błagam pana, dołóż wszelkich starań, aby dopomóc Ani odnaleźć Sandy'ego.

Prasoznawcy nie ustalili jeszcze czy Mr. Ford więcej przejął się pleksiem Ani, czy wystąpieniem Hitlera, który w tym samym roku doszedł do władzy.

### GROŻBA ZALEWU

ALE nie tylko prasoznawcy odnotować muszą, że comicsy stały się w Ameryce wielką gałęzią przemysłu. Wydaje się tam miesięcznie 50.000.000 comicsów w formie książkowej. Sześć miliardów tasem comicsowych w 1900

dziennikach amerykańskich, czytanych przez 70 milionów czytelników. Według danych zawartych w książce G. Legmana p. t. „Love and death”, wydanej w roku 1945 w Nowym Jorku każde dziecko amerykańskie nabywa i pochłania miesięcznie 10 do 12 książeczek comicsowych. W ciągu trzech kwartałów roku 1948 sama tylko młodzież szkolna pochłonięła ponad 1/4 miliarda comic books. Nie tylko młodzież pasjonuje się tą lekturą. Obliczono, że 32 proc. dorosłych czytelników czytuje ją regularnie w tygodnikach, natomiast 54 proc. karmi się nią codziennie.

Tą samą strawą zaczęto karmić głodną lekkiej rozrywki ludność zachodnio-europejską.

Leżą przede mną na biurku egzemplarze francuskich i niemieckich comicsów, belgijskich i szwajcarskich romansów beletrystycznych. Pod światłem lampy wyglądają barwnie i nieszkodliwie, jak egzotyczne żyjątka na szkiełku pod mikroskopem. A tam są chmara szarańczy, odmiana bakteriologicznego bombardowania, nalotem trujących owadów.

Niosą z sobą pyczną i wulgaryzm. Odzwyczajają od myślenia. Przyzwyczajają do kultu bicepsów. Sankcjonują mordobicie. Heroizują bandytyzm. Gloryfikują gangsterstwo.

Przeglądając te barwne historyjki ludzkiej głupoty trudno nie uwić rzyć, że głupota jest nieskończonością. Istny kankan zbrodni, Jiu-jitsu jako pogląd na świat. Kula rewolwerowa jako argument nie do odparcia. Ideologia w pastylkach „Libidinu”. Toksyna antykultury. Rzeka mętnego żywiołu.

Płynie to bełkotliwie jak Missisipi pornografii i głupoty. Miesza swoje wody z wodami Renu, Sekwany i Dunaju. Spada Niagara tanich zachwyty i upojen na łby mętne od czadów po-faszystowskich czy nec-faszystowskich lub łby

### MONA LIZA I PASTA DO ZĘBÓW

NIE chodzi tu tylko o inwazję comiców. Comicsy to tylko przykład jednej z form amerykanizacji prymitywnej literatury. Nie chodzi tu nawet tylko o literaturę. Wiemy, jak wspomaga ją i uzupełnia film, radio czy ostatnio — telewizja. Wiemy, ile znaczą elementy amerykanizacji, przesączające się do nurtu życia kulturalnego po przez różne filtry obyczaju, rozrywki czy tak zwanego stylu osobowości lub środowiskowego klimatu. Pisało się o tym wiele i wiele się jeszcze będzie pisało.

Tu chodzi przede wszystkim o podkreślenie narastającej intensyfikacji procesu zarażenia kultury europejskiej chorobą amerykanizmu. Intensyfikacja tego procesu przy wielkim mnożniku osiągnieć cywilizacyjno-technicznych świata amerykańskiego i przy poważnej ciągłej orbicie jego wpływów politycznych jest zjawiskiem coraz niebezpieczniejszym.

Nie ma powodu bić w dzwony żałobne. Kultura latynska Europy zachodniej to nie pole bawemiane, które da się w ciągu roku zorać i zużytkować pod plantacje ryżu czy herbaty. Odwieczne wartości wspólnych kulturalnych tradycji Zachodu nie zmieszczą się do walzki upstrzonej nalepkami wykwiłntnych hotelów. Drapacz w New-Yorku jest wyższy od paryskiej katedry Notre Dame, ale katedra Notre Dame jest większa od wszystkich drapaczy New-Yorku. Nie ma powodu bić w dzwony żałobne.

Ale nie bagatelizujmy terkotania dzwonek alarmowych. Mona Liza nie powinna reklamować pasty do zębów. A Nike z Samotraki ma inne zadania historyczno-kulturalne niż zachwalanie biustonoszy firmy „Elastic”. Przyszłym pokoleniom nie wolno uwierzyć, iż Sokrates dlatego umarł po cykucie, że nie znał pigulek „Sano”, które produ-



Druga była trochę jakby zaskoczona, bo przystojny gangster dławił ją za gardło, a wąż boa niezależnie od tego — ale w widocznym przymierzu z gangsterem — oplótł w dwuznacznym uścisku jej kibić. Trzecia pani nie patrzyła na nas w ogóle, bo była zajęta czym innym. Właśnie wydoberła zza podwiązki sztylet i wbiła ją go z demonicznym grymasem ust w kark e-leganckiemu włamywaczowi, który w jednej ręce trzymał odbezpieczony rewolwer, a drugą manipulował przy aparacie, nie wyglądającym na aparat do ostrzenia żyłek, lecz raczej na maszynę piekielną do wysadzania wielopiętrowych budynków. Pozostałe panie zaimowały się: a) umiowaniem (w objęciach goryla), b) całowaniem (cow-boy'ów, Tarzanów i supermanów), c) pokazywaniem (tego, czego się publicznie nie pokazują). Panowie, jeśli nie dusili pań, to je bronili lub całowali, a gdy pań nie było, rozorwali kasy, lub ze stoickim spokojem kierując ku nam czarne lufy coltów robili (jak informowały lakoniczne napisy), „bang-klang”. To znaczy: strzelali. Kupiliśmy ich razem z paniami całą paczkę, zadowolnie podglądani przez czterdziestoletniego miokosa, któremu starczyło fenigów tylko na jeden zeszyt Sun Kohna pt. „Płynna Zaraza”.

W samochodzie każdy z nas wystrzelał coraz to innym cytatem z kartkowanych niby to nieufnie i lekceważąco, a z dużą przecieź dozą zainteresowania zeszytów, broszur i comiców. Oto w „Neues Kriminal Magazin” bukietik brzydki pachnących tytułów: Giftmord, Gattenmord, Schwarzhandel, Die Gangsterin im Film, Der blonde Tiger, Die Bestie von Shanghai... Nie trzeba tłumaczyć. Szmira kryminalna jest kosmopolityczna. Oto z innego zeszytu wiązanka ogłoszeń: „Libidinu” w płynie i piguł-

zjawiskiem indywidualnym. Jest przedmiotem określonego politycznie i kulturalnie działania, jest podmiotem ewentualnych zbrodni czy zbrodni, stanowiących konsekwencję tego działania.

Dzisiaj, wylobywając go z niedawnych wspomnień, wysłarczy w kalendarzu pamięci przewrócić kilka kartek wstecz, aby odnaleźć podobnych chłopców bliżej nas, czy nawet w nas samych. Stawali w roku 1939, 1938 czy 1937 przed kioskami na różnych ulicach Marszałkowskich, w różnych Warszawach, Poznaniach czy Łodziach, by za 10 lub 15 groszy kupić sobie „Lorda Listera”, „Buffalo Billa” albo „Błękita morderczynię”.

Oczywiście, ilustracje — jeśli były — były mniej pikantne. Papier gorszy. Grozy mniej. Nagości mniej. Błądów stylistycznych więcej. Gwałty, strzały, uduszenia — w bledszych trochę kolorach. Małe rekiniki prasowe polskiego kapitalizmu dopiero się uczyły od starych Hearstów. Pojętniejsze potworki dochodziły do pikantnych „Wolnych żartów”, do „Bociana” i do tajemnic „Za parawanem”. Rosła fala.

Przyszła po niej „Fala”. Okupanci dbali o dobrą tradycję. Cel był ten sam. Środki te same. Czasami nawet — ci sami autorzy.

Czternastoletki miały czym karmić fantazje, pełnokrwiste byczki i stare przyki miały swój prasowy „Libidinu” i „Sexal” i dreszczyk sensacji, gdy „muskularny Jim lewym kolaniem przysięgając pierś krwawego Johna, prawą dłońią sięgnął po rewolwer, który w ostatniej chwili drapieżnie wyrwała mu tajemnicza ręka zza kotary...”.

W kioskach Polski Ludowej nie znajdują gorliwi ciekawscy dawnych kryminałów i pornografii. Nie mówmy, że jej nie szukają, odkłómy na później sprawę ich poszukiwań. Zauważmy tylko fakt: nie ma Lor-



mętne samą młodzieżą, samą naiwnością szczeniackich zachceń. Na bujny czarnociem latynskiej kultury Zachodu nanosi mulasty szlam, zapaskudzony resztkami przeżytych i wyplutych ostrzyg.

Niech ta metafora nie będzie ucieczką od wniosków konkretnych i koniecznych. Niech nie będzie zamazywaniem politycznych i społecznych konturów zjawiska. Wiemy, że imperializm i kapitalizm są wrogami postępu, wrogami ludzkości, wrogami humanizmu. Nie mogą być przyjaciółmi humanistycznej, dążącej do pełni człowieczeństwa kultury. Inwazja kulturalna Ameryki na Europę zachodnią potwierdza tę bolesną prawdę.

kuje Mr. John Westfield w Chicago.

Świato nie wolno wmuwać, że naród amerykański to naród kidnaperów, gangsterów, bandziorów i złotych blondasków czy niedobrych diw filmowych. Wszystko, co służy zakłamywaniu prawdy o człowieku zwraca się przeciw kulturze. Dlatego alarm ostrzegawczy przed amerykanizmem jest alarmem mobilizującym nas wszystkich. Niech trwa.

Niech naukowcy wskażą przyczyny niepokoju nas zjawiska. Niech publicyści obciążą się książkami, by dać pełniejszą niż do tej

(Dokończenie na str. 9)

(fragment książki p.t.  
„MCON GAFFNEY”).

PANIE z Towarzystwa Opieki nad szpitalem św. Linusa zbierały się dwa razy na miesiąc na tym, co wymijająco określano jako szycie, oficjalnie było to przygotowywanie bandaży, białozny pościelowej oraz innych rzeczy dla szpitala.

Dla większości kobiet w tym wspólnym wysiłku kryło się coś z tej spokojnej, niemal podświadomej przyjemności, jaką dają wielu ludziom czynności prymitywne, spełniane niegdyś przez ich przodków, na przykład strzyżenie drzew lub skubanie drobiu. Niewiele z tych kobiet

siedzące w trzecim kręgu rozmawiały przeważnie o pracy związanej ze szpitalem. Czasem połowa, albo całe zdanie wypowiedziane w jednym kółku dobiegało do drugiej grupki kobiet, zwracało ich uwagę, i nieraz zmieniało temat toczony przez nie rozmowy.

Dobroczyнным celem, dla którego Towarzystwo obecnie pracowało i urządziło zabawy, było wybudowanie nowego oddziału położniczego. Na codzień zajmowano się szyciem, szykowaniem koszyków dla biednych, zaś młodsze kobiety pomagały jako świeckie pielęgniarki. Taka jednak działalność, choć była zasługą, rzadko łączyła się z przyjemnością. Przyjemność dawały takie konkretne

Harry SYLWESTER

— Dostała pieniądze za to, że z nim poszła.

Konsternacja.

— Zupełnie w to nie wierzę.

— Mimo to jednak, pani O'Reilly, wiem, że tak było.

— W takim razie to musi być jej wina. Ona nie jest katoliczką.

Oczywiście nie było na to odpowiedzi, któraś z kobiet rzekła:

— Ryć może.

— W porządku zatem, jeśli to jej wina, skąd tyle gadania o tej drugiej kobiecie.

Pokój zamienił się na kilka sekund w istną wieżę Babel.

— Ja w to nie wierzę, ja w to nie wierzę — powtarzała jedna z kobiet szycząc i potrząsając głową, starając się jednocześnie zaprzeczyć temu i zignorować całą sprawę.

— Niemożliwe, aby to była prawda. I wiem...

Uciszyły się wszystkie, bo pani O'Reilly była bliska łez.

— To niemożliwe — powiedziała.

— Z trudem dobywała z siebie słów, szycząc powoli i z jakimś pełnym troski zamysleniem. — To niemożliwe. Nasz Jackie nigdy nie zrobiłby tego. Na własne oczy widziałam, jak kardynał chwycił go w ramiona... w ów dzień, w parku centralnym. To jest okropne, by katolicki mówić w ten sposób o katolickim mężu stanu. Ja...

Znów pochylała się nad robotą i potrząsając głową zaczęła szyć szybko.

— Najlepiej będzie, jeśli porzucimy ten temat — powiedziała pani Danaher, która uznała za rzecz konieczną podejść do tej grupy. Nie wszystkie kobiety skłonne były pójść za tą radą, lecz w tej chwili ukazała się w pokoju zakonnica, która sprawowała łagodny nadzór nad szyciem. Stosownie do tego, gdzie urywano lub ściszano rozmowę, a gdzie toczyła się nadal, po tonie głosu można było z powodzeniem odgadnąć, co było tematem w każdej grupie. Marie McGuffey zachichotała i uniosła w górę szyję przez siebie ubranko dla niemowlęcia.

— Myślę, że siostra nie ma nic przeciwko temu, że szyję tutaj dla siebie? Spodziewam się już mego drugiego.

— Ależ naturalnie Mario — odrzekła zakonnica.

— A my — mówiła pani Ratigan — rozmawialiśmy o naszym nowym oddziale położniczym. Podobno opłata ma wynosić 12 dolarów dziennie. Anj o penny mniej.

— Wiem na pewno, że to nieprawda. Opłata wynosić będzie 16 dolarów dziennie. Anj penny mniej.

Na dźwięk tych słów, wypowiedzianych donośnym głosem, w pokoju zapanowała cisza.

— Lecz któż będzie mógł tyle płacić — zastanawiała się Ellen — one może tak, ale przecież nie te kobiety które przychodzą do kliniki na dół. Odczuła zakłopotanie, jak gdyby ta myśl zawierała w sobie jakąś herezję.

— Siostrze Franciszko — zapytał ktoś — czy rzeczywiście taką opłatę zamierzają wprowadzić na nowym oddziale — 16 dolarów?

Zakonnica, idąc w stronę maszyny do szycia nie zatrzymała się. Zwróciła tylko ku pytającej twarzy, i ze słabym uśmiechem, pełnym wyrozumienia przytaknęła.

— Tak.

— A dlaczego by nie — zapytał ktoś z rozpolitykowanej grupki. — Dlaczego nasz oddział położniczy nie miałby być pierwszorzędną kliniką. Nosi on imię wielkiego wroga ograniczania ilości urodzin.

Na to także nie było odpowiedzi: poza tym słowa „ograniczenie ilości urodzin” wywołały bojaźliwe młeczenie wielu kobiet. Wiele z nich, w

# Mr. MURPHY

ten czy inny sposób, ograniczało ilość urodzin (pani Danaher na przykład po prostu nie chciała sypanić z mężem) dlatego też dyskusja na ten temat sprawiała im zakłopotanie. W ciszy, jaka zapanowała, zakonnica podeszła ku maszynom do szycia. Jak zwykle — zauważyła — osoby źle szyjące siedzą przy maszynach. Przypuszcza jednakże, że to lepiej dla nich, bo większość z nich potrafi najwyżej zafastrygować obręb na przedzieradle. Gdy siostra znalazła się przy maszynach, rozmowa ożywiła się, stała się głośniejsza i bardziej ogólna.

Edna Robson — powiedziała Rosemary — spodziewa się dziecka. Nareszcie.

— O, to doskonale — rzekła Patrycja.

— Nie jestem, tego pewna — odpowiedziała Rosemary — szyjąc powoli i w zamysleniu — każda z nas wie, jak zachowywał się jej mąż przez ostatnie parę lat.

— Chodził z innymi kobietami — stwierdziła Maria. — Lecz nie wiem, co to ma wspólnego z faktem, że Edna spodziewa się dziecka? Myślę, że to bardzo pięknie, że będzie je mieć.

— Otóż — powiedziała Rosemary, zaważając się, wydeła wargi i trzymała słuchaczki w napięciu — tak się złożyło, że wiem. — Pauza. Powoli zrobiła parę ściegów. — Z bardzo wiarygodnego źródła... od kogoś z wydziału zdrowia publicznego... Joe Robson ma syfilis.

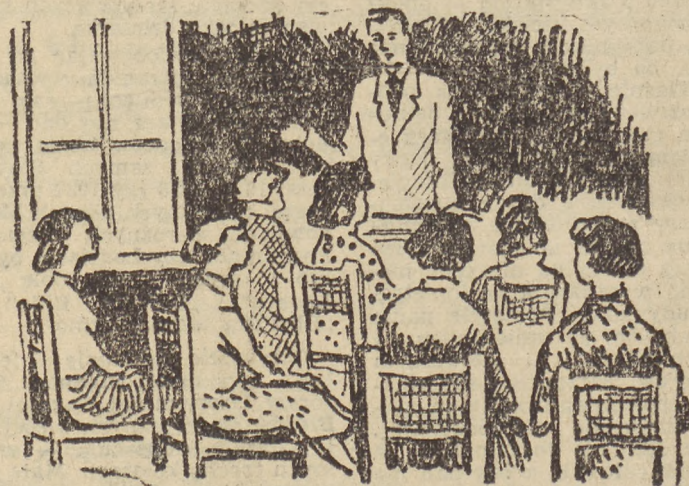
Zdumienie kobiet powiększyło jeszcze satysfakcję Rosemary.

— To straszne — westchnęła Patrycja. Ach, nie wierzę temu.

— Ja również nie wierzę — dodała Ellen. — Jeśli jednak...

— Ja wiem! — Rosemary wymawiała każde słowo oddzielnie. Podniosła głowę, otwierając szeroko oczy i trzymając je nadal szeroko otwarte pochylała ponownie głowę, wywołując moment nastrojowej ciszy.

— Jeśli wiesz na pewno — mówiła Ellen, również robiąc przerwy między wyrazami — jeśli rzeczywiście tak jest, ktoś powinien powiedzieć doktorowi. Myślę o doktorze, który ma przyjmować dziecko. Ono...



— O, nie — zaprotestowała Patrycja. — Wielkie nieba, zabiło by to starą panią Robson i sędziego, gdyby dowiedzieli się tego o młodym Joe. Ja w to nie wierzę, ale jeśli tak jest...

— A więc, ja wiem, że tak jest — odrzekła Rosemary — i powinno się coś zrobić. Sądzę...

— Naturalnie — powiedziała Ellen. Poczuli się jakoś niedobrze, ale nie pojmowały dlaczego. Zapewne to jej miłość do dzieci. Słowa przychodziły niechętnie, gnane dziwnym przymusem. — Doktorzy muszą być ostrożni, gdy dziecko obciążone jest tego rodzaju dziedzictwem. Należy przemyśleć czy dziecko jakimś środkiem bakteriobójczym czy czymś w

tym rodzaju. Może zrobią coś dla Edny. Nie wiem doprawdy...

Jej sposób mówienia — tak charakterystyczna niepewność — wywarły na słuchaczkach większe wrażenie niż treść jej słów.

— Lecz czy katolicki mają rozprawiać na taki temat — powiedziała Marie McGuffey. Jej sposób mówienia, zarazem jasny i surowy, utrzymany był w tonie najlepszych kazań biskupich.

— A ja wciąż jestem przekonana, że więcej złego zrobimy mówiąc o tym ludziom, niż nie mówiąc nic — rzekła Patrycja — Sędzia Robson to taki wspaniały starszy pan. Nie dalej jak wczoraj ojciec mówił...

PATRYCJA przerwała, widząc, że w głębi pokoju kobiety wstają, by uczcić wejście J. Martina Murphy'ego. Zaczęto składać zwoje muślinu i płótna, zapanowało ogólne poruszenie, wszyscy wstawali, a w zapadającym mroku wyczuwano się nastrojowy wyczekiwania. Kręgi krzesel stawały się rzędami, zakrywano maszyny do szycia, ostatnia płama słoneczna na ścianie malała w oczach. Ellen wstała, czując, że opuszcza ją zle samopoczucie. Zza szeregów matron pan Murphy rzucał promienisty uśmiech na nią, na Rosemary, na wszystkie dziewczęta. Uśmiechnęła się blade i wypaliła papierosa przy oknie. Nie pochwalano tutaj palenia i zwykle Ellen starała się dostosować do zwyczaju. Lecz 16 dolarów, to suma, na którą wiele z nich pracować musi cały tydzień — myślała. Ale nie spodziewano się przecież, by kobiety z kliniki zajmować miały pokoje na nowym oddziale. Myśl o rodzeniu dzieci stała się mniej pociągająca niż zwykle. A może to myśl o rodzeniu dzieci Piotra jest jej tak nieprzyjemna. Trudno to rozstrzygnąć. Jak zwykle w takich momentach zgasła papierosa. Potem odwróciła się od okna. Rosemary uderzyła dłonią w krzesło koło siebie, wszystkie panie zajęły już miejsca, a pani Danaher, która chciała już przedstawić mówcę, spoglądała na Ellen. Zajmując miejsce, Ellen zauważyła, że przyszyły inne kobiety, pracownice kliniki na parterze, a także paru młodych ludzi, chcących odprowadzić do domu swe dziewczęta. Zobaczyła Ma-

ryło w domu; w długim, mrocznym pokoju szpitalnym mogły uspokoić swe sumienia, dogodzić samym sobie, oraz dowiedzieć się wiele o bliźnich. Z jakiejś niezbyt dla nich jasnej przyczyny, uczestniczyły w tym, co ich była przewodnicząca, pani Danaher nazywała „działalnością kulturalną”. Na tych zebraniach co sześć lub osiem tygodni wygłaszano odczyty. Muskularne kobiety, które mówiły na temat pomocy w nagłych wypadkach, misjonarze, którzy zdobyli szczyty górskie, nauczyciele, którzy widzieli kiedyś ukryty klasztor w Mexico City — wszyscy dzielili się swymi skarbnicami z paniami z Opieki. Dziś afisz, pisany przez Ellen Doarn, zapowiada przybycie J. Martina Murphy'ego, krytyka literackiego. Afisz zredagowany został przez panią Danaher. Przepisując go, Ellen zastanawiała się nie tyle nad wielostronnością umysłu pana Murphy'ego, co nad powodem pogardliwego rozbawienia, jakie budziło wśród młodych mężczyzn jego imię. Jeżeli o nią chodzi, myśl o panu Murphy nie budziła w niej żadnych uczuć. Raz lub dwa razy tańczyła z nim na oficjalnej zabawie i ton nieco otyły, trzydziestoletni mężczyzna, namiętniejszy się poważnie i dystyngowanie, a czasem ukazujący wszystkie zęby w uśmiechu szerokim, lecz pozbawionym weselości wydał jej się nudnawy. Ciekawe, że nigdy przedtem nie myślała o tym uśmiechu. Przypomniała sobie, że na twarzy Piotra widywała też czasem ten pusty, głupawy uśmiech. Miał ta przyprawiła ją niemal o mdłości. Ponieważ i to nigdy nie zdarzało się przedtem, postanowiła nie dopuszczać do siebie tych myśli. Piotr, powiedziała sobie, jest bardzo taktownym i oddanym jej młodym człowiekiem.

J. Martin Murphy nie przybędzie wcześniej niż o czwartej trzydzięci, to jest gdy kobiety będą już miały za sobą dwie godziny szycia. Po prostu można było by powiedzieć, że jest swego rodzaju przynęta ukazwaną oczom kobiet. Tymczasem kobiety szyły i rozmawiały siedząc w paru grupkach. Wiek i zainteresowania stanowiły podstawę podziału, Rosemary, Ellen, Patrycja Moore, Marie McGuffey i inne jeszcze, młode kobiety znalazły się w jednym kółku. Wokół pani Danaher utworzyło się zgromadzenie, które można by nazwać politycznym; kobiety

sprawy jak tańce i bridge, które nie tylko stanowiły okazję, aby godnie wystąpić, lecz przynosiły poza tym solidną gotówkę. Tak gorliwie pracowano, aby mógł powstać nowy oddział, że już poprzedniego roku Towarzystwo rozpoczęło budowę w pogodnej wierze, że dzięki dobroczynności działającej z właściwą sobie wytrwałością niezawodnie zbierze się pieniądze na spłatę długu i procentów. Obecnie budowa posunęła się tak daleko, iż mówić zaczęto na temat opłat, jakie będą w klinice pobierane i personelu, który tam będzie pracować.

Te sprawy stanowiły temat rozmowy środkowej grupki — pomiędzy kółkami pani Danaher a młodymi kobietami. Oddział miał być nazwany imieniem zmarłego kardynała Geraghty, wielkiego zwolennika rodzin mających liczne potomstwa. Uluźnionym jego powiedzeniem było „wszystko mi jedno, czy przynoszą one chwałę wsi czy miastu”. Pani Ratigan oświadczyła, po raz chyba piętnasty w tym roku, że jest rzeczą wielce stosowną, aby oddział szpitala nosił imię Jego Eminencji.

— Powinni byli pomyśleć o tym o wiele wcześniej — powiedziała pani O'Reilly — nazwałabym jednego z mych synów jego imieniem. To przynajmniej każda z nas może uczynić.

Synowie niejednej z zebranych kobiet nosili imię kardynała, toteż potakiwaniem nie było końca, pani O'Reilly musiała dzielić zaszczyt z innymi, a pozostałe kobiety żalowały, że także na tę myśl nie wpadły.

— Major Meagher często mówił to samo, że gdyby miał dziecko, nadałby mu imię kardynała.

Rozmowa urwała się na chwilę. Niektóre z kobiet sądziły, że istotnie nie powinny tego mówić, inne pocztywały to sobie za obowiązek i jedna rzekła:

— Nie pojmuje, jak major Meagher mógłby mieć syna skoro nie żyje z żoną.

Zdziwienie zaparło dech niewtajemniczonym.

— Po prostu nie wierzę w to — powiedziała zdławionym głosem jedna z kobiet.

— Czy się w to wierzy, czy nie wierzy, on tak postępuje.

— Przecież widziałam ich razem na mszy w katedrze.

— Dużo ludzi ich widziało.

# PRZEMAWIA

riodyków jak „Gość Niedzielny” i „Świat Katolicki”. Toteż — kończyła pani Danaher — jest to dla mnie wielki zaszczyt, że mogę przedstawić wam pana Martina Murphy'ego. Oklaaki, rozlegające się w cisno wypełnionym pokoju, sprawiły wielkie zadowolenie panu J. Martinowi. Wstaje zauważył, że zakonnica opuściła pokój a dwu młodych ludzi w czarnych garniturach pochyliło się ku sobie, jak gdyby naradzając się czy nie lepiej wyjść i zapalić papierosa. J. Martin pragnął, aby wyszli: mężczyźni sprawiali mu zawsze wiele kłopotu, a już Moon specjalnie. Moon zawsze nazywał go Józefem, a „Józefowska” część jego życia była tym, o czym J. Martin chciał jak najprę-

duchowany, że oczywiście, żaden świecki wydawca nie chciał mieć nie do czynienia z jej książkami. A ona była zbyt pokorna, aby zanieść je do katolickiego wydawcy, przypuszczając, że nie są one dostatecznie uduchowione. Wreszcie nasz przyjaciel czy sprzymierzeniec — a ośmielię się nazwać go wywiadowcą — J. Martin przerwał i uśmiechnął się. Część słuchaczek chichotała. — Ten przyjaciel zwrócił naszą uwagę na tę pracę. Wolno mi chyba wyjawić, że ten przyjaciel należy do naszej hierarchii kościelnej? Może niektórzy z państwa sądzą, że popełniłem obrazę majestatu, nazywając go wywiadowcą?

Przerwał, chcąc usłyszeć wyrazy

Anglików. Jeden z jej dziadków urodził się w Walii, chociaż oczywiście większość jej przodków pochodzi z Irlandii. W każdym razie rodzina przez nią opisywana nie jest, rzecz jasna, katolicka. Pomimo wpływu Chestertona i Belloc'a nie wiele jest rodzin katolickich w Anglii. Ta rodzina, w gruncie rzeczy może być nazwana wrogiem katolicyzmowi. Mimo to jednak przyciągało ją do Włoch piękno kościołów i wspaniałość katolickich obrzędów. No i poza tym, oczywiście, cudowny klimat i drzewa pomarańczowe. Ojciec opisywanej przez panią Hannigan rodziny jest biznesmanem, naturalnie bardzo inteligentnym ale pozbawionym jakiegokolwiek życia wewnętrznego. Matka jest kobietą oddaną rodzinie i skłoną — żeby to powiedzieć delikatnie — do szydzenia z Kościoła. J. Martin uczynił małą pauzę, chcąc za pomocą delikatnych ruchów głowy, dłoni i ramion wyrazić, że to jest dla niego zupełnie niepojęte.

— Mimo to jednak pozwala swej córce zwiedzać kościoły Wiecznego Miasta. Pani Hannigan celuje w opisach tych kościołów. Doprawdy, są one ważnym elementem w tej książce. I tak na przykład przedstawia katedrę św. Piotra jako odmianę Carnegie Hall, tylko większego i oświetlonego za pomocą świec. To dziecko, córka angielskiej rodziny która — nazywa się Rozalinda — musi oczywiście ulec wpływowi katolicyzmu. Nim rodzice zdali sobie z tego sprawę i mogli temu przeciwdziałać, nieszczęście już się stało, uparła się ona bowiem aby pozwolono jej zostać katoliczką. Oczywiście rodzice byli przerażeni. Nie będą tu wchodził w szczegóły. Wystarczy, że powiem, iż robili wszystko co było w ich mocy, chcąc jej to wyperswadować, ale bezskutecznie. Zgodzili się wreszcie, choć niechętnie, aby została przyjęta na łono kościoła i to w dodatku przez biskupa. Jak wiecie, w Rzymie jest wielu biskupów ale nie sądzicie ani przez chwilę, że na tym kończy się ta piękna książka. Ach, nie. Nie sądzicie tak. Po jakimś czasie Rozalinda zachorowała, prawdopodobnie na skutek nieustannego wysiłku, jaki wkłada w bezskuteczne nawracanie rodziców. Doktorzy nie mogą określić na co właściwie cho-

ruje. Coraz bardziej traci siły. Rodzice rozpaczają. Świątobliwy ksiądz, który nawrócił to dziecko — chrzczył ją biskup — przychodzi udzielić jej ostatnich sakramentów. Chociaż jest umierająca, gdy ksiądz się nad nią pochyla wraca jej świadomość i ksiądz słyszy jej słowa. Twarz mu się rozjaśnia. Powstaje i mówi rodzicom: „Córka wasza powiedziała, że jeśli przyjmiecie wiarę katolicką ona wyzdrowieje” — przerwał na chwilę. — Jest to moment, gdy rodzice muszą powziąć rozpaczliwą decyzję. Upředzenie przeciw katolicyzmowi jest w nich bardzo silne. Lecz widzą, że nie ma ratunku. Przechodzą na katolicyzm. Czynią to niechętnie, bez radości, to prawda. Lecz niemal natychmiast spływa na nich radość, gdyż dziecko zaczyna odzyskiwać siły. I oni widzą to własnymi oczyma.

J. Martin uczynił chwilę przerwy, by nieco odpocząć i obserwować jakie wrażenie na słuchających wywołują jego słowa. Pijąc wodę ze szklanki zauważył, że nie ma już mężczyzn w głębi pokoju. Kilka starszych kobiet obserwowało go z prawdziwym podziwem, z lekko otwartymi ustami. Dwie młodsze kobiety ziewały i nagle J. Martin poczuł ku nim nie-

szym czytelnikom, takie myśli szerzymy. Jednakże są także inne rodzaje książek. Utwory niebeletrystyczne — dla czytelników lubiących rzeczy poważne, książki omawiające sprawy ducha — dla tych, którzy mają takie zainteresowania. Nie będę się nad nimi rozwodził, ale wspomnę o dwóch książkach, ostatnio przez nas wyróżnionych. Jedna z nich, napisana przez biskupa ze środkowego Zachodu, człowieka wybitnego, maluje przed nami obraz współczesnej Europy, omawiając sze-roko toryturalne rozszczenia Niemiec i Włoch.

Znajdujemy tam również opisy walk w Abisynii. Tytuł tej książki brzmi: „Walka z czerwoną bestią”. Druga, której autorem jest o. Patryk Mc Goon zatytułowana: „Cnota świętej czystości”, należy do tych naszych książek, na które rozpisana była subskrypcja. Te książki i ich tytuły mówią same za siebie. Sądzę, że nie potrzeba będzie omawiać ich treści. Charakteryzują one naszą pracę. Może niektórzy z państwa chcieliby przyjechać do naszej siedziby i spokojnie tam poczytać. Bylibyśmy szczęśliwi, gdyby to nastąpiło. Moglibyśmy lepiej wytłumaczyć istotę naszych prac i metody.

J. Martin przemawiał jeszcze przez chwilę i przerwał usłyszawszy dźwię-



dziej zapomnieć włączając w to trzy-pokojowe mieszkanie jego ciotki i chłopców ze szkoły św. Patryka, nazywających go „siostrzyczką”.

— Jak nam wszystkim wiadomo — rozpoczął z lekką sepienią — żyjemy w czasach wstrętnego poganizmu, którego zarazkami zatruty jest główny nurt amerykańskiej sztuki i literatury. Widzimy to w czasopiśmie, książkach, na filmie. Wszyscy zdajemy sobie sprawę z jego istnienia. Moim dzisiejszym zadaniem jest przedstawienie katolickiego protestu przeciw poganizmowi, mocnego, krzepkiego i realistycznego, katolickiego prądu w sztuce. — Przerwał, by zacerpnąć oddechu. — Może nie wszyscy z państwa wiedzą, że taki ruch się rozpoczął. Wiecie zapewne, że od czasu do czasu pojawia się ładna, katolicka powieść napisana przez Ducille Pap'n Bowden czy Franka Speavmana. Słyszeliście o cudownej wystawie malarskiej J. Montmorency Delamey. Jego obrazy zamysłonych cherubinów i świętych rwałizować mogą z obrazami El Greco, lecz być może nie wiecie, że powstały organizacje i że istnieją publikacje mające na celu krzewienie tego ruchu w katolickiej sztuce. Powstały nie tylko po to, aby wam mówić, co macie czytać, ale by was nieustannie informować, gdyż smutną prawdą jest, że prasa świecka jak gdyby w znowie, albo nie uznaje katolickiej literatury w Ameryce, albo też ją przedstawia w fałszywym świetle. Tak więc, chociaż nie przybyłem tutaj po to, aby mówić wam o „Klubie Książki św. Dymy”, myślę, że jeśli przedstawię wam kilka książek ostatnio przez nas wyróżnionych, zdołacie pewnie zrozumieć głównego nurtu katolickiej literatury w Ameryce. A potem, jeśli czas pozwoli, pomówimy o katolickim malarstwie naszego kraju.

Pomówimy najpierw o książce, wyróżnionej przez nas w ostatnim miesiącu, o powieści Edith Hooper Hannigan, zatytułowanej „Tylko aniołowie śpiewają”. Pani Hannigan jest w pewnym sensie naszym odkryciem. Ta nieznaną kobietą pisze już od wielu lat, lecz jej prace mają tak uduchowiony charakter, tak bardzo

uznania i stał z podnieścionymi brwiami, ze zdobywczym uśmiechem, a słuchaczki szczerze obdarzyły go tym, czego pragnął: jasnymi, łagodnymi uśmiechami.

— Waham się także, czy powiedzieć, że Hannigan jest kuzynką naszego współpracownika. To będzie zapewne rewelacją. Lecz jestem... a raczej jesteśmy — ja i nasz sprzymierzeniec — tak bardzo wstrząśnięci podobieństwem pani Hannigan do Emily Dickinson. W jakżeś podobny sposób je odkryto... Ale wróćmy do samej książki. Opowiada ona o angielskiej rodzinie, która żyjąc o generację lub dwie przed nami, spłdza zimę we Włoszech. Pani Hannigan nigdy nie była we Włoszech ale doskonale zna

by walczyły przeciwko Europie? — Jeden wynaleziony został sposób: strach, strach przed „hordami bolszewickimi”. Pisał o tym bez żenu dy „New York Times” z 7 stycznia 1951: „Departament Stanu rozesał do dyplomatów amerykańskich okólnik informujący ich, że Waszyngton uważa za konieczne ułatwić zadanie generałowi Eisenhowerowi, któremu nie uda się przekonać opinii publicznej o konieczności dozbrowienia o ile nie będzie ona się kształtowała pod wpływem strachu. A więc należy opisać ją jak najprędzej wprowadzić w stan przerażenia”.

Od dwóch lat ta histeria strachu organizowana jest w sposób, powiedziane można „naukowy”, od małych dzieci poczynając.

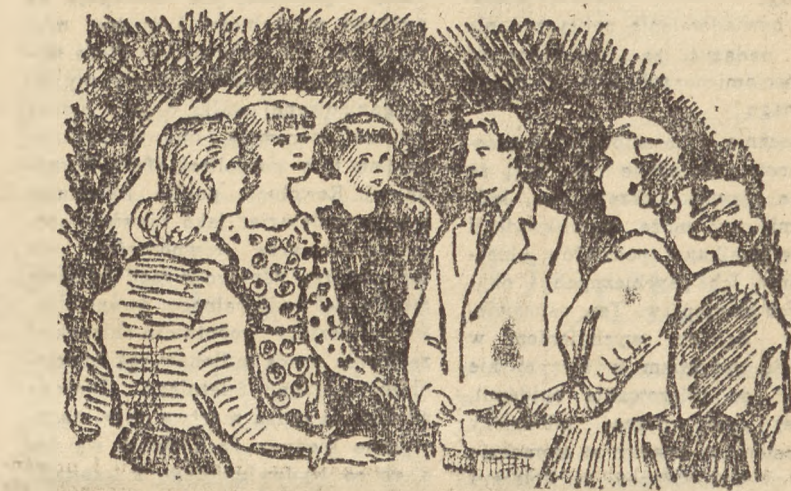
Pian Marshalla wykorzystany został dla dokonania formalnej okupacji kulturalnej objętych nim państw europejskich. Dziś można by napisać już całą książkę złożoną wyłącznie z materiałów dotyczących sposobu w jaki najrozsadniejsze instytucje „naukowe” amerykańskie rozciągnęły kontrolę nad szkolnictwem, uniwersytetami, ru-

chem wydawniczym, filmem, teatrem, radiem itp. we Francji i innych krajach. Mimo oporu większości intelektualistów i walki klasy robotniczej, zamerykanizowanie i ujarzmienie obecnej francuskiej produkcji kulturalnej zaszło już bardzo daleko.

Bardzo prawicowy, wydawany przez dominikanów miesięcznik „Le Vie Intellectuelle” tak skarży się w numerze styczniowym br: „Film francuski może umrzeć. Francja jutro może być już nie zdolna do wyrażania się językiem filmu (tak jak stało się to z Belgią, Szwajcarią czy Danią). Lecz nie widzę, by ludzie zdawali sobie sprawę, że było by rzeczą mniej ważną jeździć Bulkiem i nosić skarpetki made in USA niż odkrywać świat i ludzi p-przez obcą wizję”.

— We Francji są tacy ludzie i znajdują się oni właśnie między tymi, którzy nie noszą amerykańskich skarpetek i nigdy nie jeździłi luksusowymi samochodami.

W swej misji „kulturalnej” i



nawieść. Odstawił szklankę i zaczął znów mówić. W pokoju było już niemal zupełnie ciemno, lecz nikt nie myślał o zapaleniu światła. J. Martin zaczął przemawiać w tę ciemność niemal z wdzięcznością. Sprawilo mu to wielką przyjemność, zdawało się, że zdobył oporną część audytorium.

— Takie oto rzeczy — powiedział — taki rodzaj książek dajemy na-

nek na korytarzu. Niemal połowa audytorium podeszła do niego. Pani O'Reilly wyrażała żal, że nie zapisała się do tego znakomitego klubu do tej pory. Pani Danaher powiedziała, że nie otrzymała wspomnianej subskrypcji, a bardzo by chciała mieć tę książkę dla siebie i Rosomary.

Harry Sylvester

## Próba przemocy

(Dokończenie ze str. 5)

wojskowej Amerykanie znaleźli jednak w Europie sojusznika. I to we wszystkich krajach. W chwili, gdy piszę te słowa radio amerykańskie w Berlinie nadaje piosenki ludowe ze Śląska i Prus Wschodnich, nawet podobają mi się te piosenki, choć wiem dla kogo są śpiewane i po co. Wiernymi sojusznikami Ameryki są ci wszyscy, którzy szli z Hitlerem. Jego plan i cel był identyczny. Nie ma w tym więc żadnego paradoksu dziejów, że ci sami Amerykanie, którzy walczyli z Niemcami hitlerowskimi dziś mają w nich najwierniejszych sojuszników. Dzwic się mogą temu tylko ci, którzy nie rozumieją i nie chcą zrozumieć klasowych uwarunkowań historii. Imperializm amerykański nie miał innej drogi. Mógł albo przestać być imperializmem albo pójść drogą Hitlera. Zaskakujące w tym wyobrażenie jest tylko tempo faszystacji i zaskakujący jest cynizm. Ci sami ludzie we Włoszech, ci sami zbrodniarze świeżo wypuszczeni z więzień w

Niemczech mówią dziś i piszą o obronie wolności, obronie kultury chrześcijańskiej i europejskiej. Ci sami ludzie, których zbrodnie zna cały świat. Nie ożezdzają żadnych słów, wszystkie pojęcia i idee aly chcą splamnić i splugawić. Co dzień z radiostacji zachodnich płyną te wspaniałe i zhańbione słowa „ojczyzna”, „patriotyzm”, „bohaterstwo”, „wolność”, „honor”.

Jesteśmy świadkami najbardziej ohydnych widowisk. Obok bankierów amerykańskich gestapowcy, obok faszystów włoskich, petainowcy i Hiszpanie Franca a w poczekalni emigranci polscy, czescy, rosyjscy — układają wielki plan. Wielki spisek przeciwko Europie, przeciwko tym wszystkim wartościom, które ludzkość budowała przez wieki, przeciwko rozumowi i sercu. A gdy się spisek uda, utrwali się podział na silnych i słabych, na panów i niewolników.

Zapominają tylko o jednym. Nigdy dotąd i nikomu nie udało się zrealizować próby przemocy przeciwko całej ludzkości i przeciwko sensowi dziejów. D. Horodyński

Mikołaj ROSTWOROWSKI

PAMFLET NA DOROSŁYCH MIESZCZAN

## I C H S O J U S Z N I C Y

KIEDY uświadomimy sobie, że amerykański eksport „kulturowy” przeznaczony dla narodów Europy jest w dużej swej części podług intencji ofiarodawców „manną”, którą oni sami z apetytem spożywają, a jedynie pewne towary zawierają rozmyślnie dosypaną dawkę ogłupiającego narkotyku — łatwiej unikniemy przeceniania roli zaoceanicznego „natchnienia”.

I tak choć jego żalosne „sukcesy” mają określone znaczenie polityczne, wydaje się, że w swej genezie łączą się one z walką polityczną tylko pośrednio.

Spójrzmy, a w konsekwencji ideologiczny korzeń „bikiniarskiego” obyczaju ujawnia się już przy najbardziej pobieżnej, socjologicznej analizie problemu. Czyż jednak wystarczy stwierdzić dość zrozumiały fakt, że naturalnymi matecznikami dzolerowskiego stylu są drobniomieszczańskie i lumpenproletariackie środowiska? Czyż wolno poprzestać na uzupełnieniu, że stamtąd właśnie w pełni ukształtowany wzorec bikiniarza lub jego bardziej wyrazistej odmiany — *chuligana* jest jak gdyby już „z drugiej ręki” przejmowany przez tę część młodzieży, u której potrzeby kulturalne i uświadomienie polityczne nie zdołały nadsząć za imponującymi możliwościami szybkiego awansu społecznego?

Ostatecznie wymienione stwierdzenia stanowią zaledwie rękomię, że chodzi o zjawisko przejściowe, które ulegnie być może samolikwidacji w miarę zanikania podziałów klasowych oraz ich psychicznych i obyczajowych następstw. Ten usprawiedliwiony dalekim wychyleniem w przyszłość optymizm w niezłym nie uprawnia do tolerowania epidemii, trawiącej część naszej młodzieży właśnie dziś, to znacznie w momencie doniosłych przeobrażeń w Polsce i słowieszczych napięć w polityce międzynarodowej.

Energiczna i doraźnie płodna w rezultaty, akcja podjęta przez państwo dla zwalczania chuligaństwa, z natury rzeczy może jedynie zapobiegać zewnętrznym i najbardziej jaskrawym objawom choroby. Dla zupełnego wyplenienia jej istotnych przyczyn konieczne jest współdziałanie całego społeczeństwa z rodziną, organizacją i szkołą w pierwszym rzędzie.

Jeżeli idzie o dotychczasowe wypowiedzi prasy to wydaje się, że w jej słusznym kontrnatarciu przeważała moralizatorska polemika z zaoceaniczną agitacją i nietrudne wytkpiwanie „mandoliniarskiej” egzotyki. W ten sposób docieraliśmy tylko do jego zasadniczego nurtu. Tymczasem „amerykanizm”, w którym jak w soczewce skupiają się najbardziej charakterystyczne rysy niebezpieczeństw, zagrażających części naszego młodego pokolenia to zjawisko par excellence ideologiczne, któremu na imię bezideowość. Kwestia przebogataj odmian tej bezideowości jest wbrew pozorom sprawą nader wtórną. Ten sam gangsterski ideał życia ułatwionego, przyswiewca pozostającemu w jawnym konflikcie z ustawą lumpenproletariackiemu *chuliganowi*, co przestrzegającemu skrupulatnie swoistych reguł bikiniarskiego „kodeksu” drobniomieszczańskiemu *pikieciarzowi*. Ich najrodzajszym duchowym bratem jest, pogardzający nota bene „formami” tamtych, *bożant* z ex-*zemiańskiego*, ex-plutokratycznego czy mieszczańskiego domu, który hołduje bardziej wysublimowanym lecz identycznym co do treści upodobaniom.

Istotna różnica między przedstawionymi klinicznymi przypadkami zaczyna się w punkcie, do którego nie dotrze żaden mieszczański obserwator rozumujący kategoriami sta-

tecznymi. Taki zawsze albo będzie urągał, że „na duchowe chamstwo nie ma klasowego monopolu”, albo w oparciu o naturalistyczną obserwację i suche dane statystyczne „dowiedzie”, że najbardziej typową wylegarnią młodych wykołajeńców są klasy dźwigające się z wielowiekowego upośledzenia. Oczywiście ten sam „obiektywny” obserwator wzrusza ramionami jeżeli mu się usiłuje wyjaśnić zasadniczą odmienną takich pojęć jak „proletariat” i „lumpenproletariat”, gdzie w pierwszym wypadku mamy do czynienia z określoną grupą społeczną, której świadomość była kształtowana tradycjami wielu robotniczych pokoleń i szczególnymi warunkami pracy w wieloprzemysłowych zakładach produkcyjnych, sprzyjającymi powstawaniu zespolonej solidarności, a w drugim — z bezkształtną masą ludzi, rekrutujących się bądź to ze zrujnowanych przez kapitalizm drobnych posiadaczy bądź z drobno-warsztatowych najemników zepchniętych do proletariackiej nędzy lecz pozbawionych proletariackiej świadomości. Mentalność i kulturalne apetyty lumpenproletariusza wbrew jego obiektywnej sytuacji społecznej nie odbiegają na ogół od mentalności i gustów mieszczaństwa. Ta sama nędza, która mobilizowała proletariat fabryczny do zorganizowanej walki o jego ludzką godność, kierowała lumpenproletariuszem na tory spolskiej afery kryminalnej. Rewolucja polska, likwidując lumpenproletariat jako zjawisko społeczne stwarza równocześnie dla tych, którzy z niego wyszli te same możliwości kulturalnego awansu jakie młodzieży robotniczo-chłopskiej zapewnia praca milionów rąk budowniczych Planu 6-letniego. Dlatego właśnie zawodzą martwe dane statystyczne kiedy z zachowania się dopiero co wydzwigniętego z kapitalistycznego upodlenia lumpenproletariatu i zbliżonego do niego względem potrzeb kulturalnych elementu napływowego ze wsi — chcemy wysnuwać miarodajne wnioski na temat sytuacji obyczajowej wśród naszej młodzieży.

Dla ukazania istotnych niebezpieczeństw, które tej młodzieży mogłyby zagrażać, trzeba sięgnąć do zjawisk o wiele bardziej typowych.

JEŻELI zgodzimy się, że bezideowość to właśnie wróg numer jeden, szukajmy jej korzenia w tych środowiskach, w których dziejące się reformy silniej ją warunkują, aniżeli, jak w wypadku klas dotąd upośledzonych, przyspieszają jej likwidację. Otóż rozpatrując interesujące nas zagadnienie w jego nieuniknionym rozwoju, twierdzą, że kryzys bezideowości jest przeżywany w sposób najbardziej typowy i ostry przez tę zwłaszcza część młodzieży, która się wywodzi z klas, pozbawionych przez rewolucję dotychczasowych przywilejów.

Od razu trzeba zastrzec, że ilościowo rzecz biorąc, problem ów może się wydać nader błahy. Ostatecznie chodzi tu przede wszystkim o tę młodzież mieszczańską, którą dom stara się możliwie szczerze impregnować na wszelkie podmuchy współczesności. Z każdym rokiem takich domów jest chyba mniej, ale na tle zorganizowanego wysiłku mającego przyspieszyć polepszenie sytuacji innych warstw, sytuacja młodych pogrobowców mieszczaństwa przedstawia się jako pewien constans. To wzmocnienia negatywną pod względem jakościowym ważkością zagadnienia i czyni je interesującym w skali ogólnonarodowej.

Dla nas, katolików sprawa jest tym godniejsza uwagi, że dotyczy klasy tradycyjnie w Polsce poddanej oddziaływaniu naszego światopoglądu.

Ponieważ osobiście jestem przekonany, że skomplikowaną sytuację ży-

ciową zawiązuje owa część młodzieży mieszczańskiej przede wszystkim wrogiemu nowej rzeczywistości klimatowi swoich rodzinnych gniazd, chciałbym najpierw gwoli lojalności polemicznej omówić pokrótce odmienne na ten temat opinie. Na początku więc czas najwyższy obalić mit jakoby obiektywizująca się na przykład w bikiniarstwie bezideowość niemarksiowskiej młodzieży mieszczańskiej była konsekwencją jej odmiennych, właśnie ideowych zapatrywań. Ponieważ te zapatrywania np. nacjonalizm, liberalizm czy nawet, jak utrzymują niektórzy konserwatyści — katolicyzm nie mogą być realizowane w rzeczywistości kształtowanej przez marksistów — młodzież znajduje rekompensatę w *dżolerstwie*.

Na temat tego „co by było gdyby” można się spierać bez końca. Dlatego jako osoba w sprawach liberalizmu i nacjonalizmu mocno niekompetentna pozwolę sobie jedynie zauważyć, że nie spotkałem *dżolera*, który by posiadał jakieś poważniej sprecyzowane poglądy społeczno-ekonomiczne. Ci, z którymi próbowałem na te tematy wszczynać dyskusję, albo ziewali albo wydawali z siebie zoologiczne pomruki o tej samej zawartości intelektualnej jaką reprezentował znany nam z autopsji faszyzm najczystszej wody. Co do zainteresowań religijnych młodych *dżolerów* to miałem sposobność sprawdzić je z wynikiem zdecydowanie ujemnym na paru egzemplarzach, w ciągu dwuletniego stażu nauczycielskiego w jednej z katolickich szkół. W konsekwencji doszedłem do przekonania, że autentyczni ideowi opozycjoniści nie stanowią bynajmniej elementu kadrowego w szeregach młodych *bikiniarzy*.

JNNYM argumentem próbującym genezę bikiniarstwa sprowadzić do płaszczyzny politycznej jest teza o klasowym upośledzeniu młodzieży mieszczańskiej, które rzekomo „nie pozostawia jej innego wyboru niż alkohol i kociaki”. Z wysuwaniem podobnego argumentu radziłbym być ostrożniejszym, zwłaszcza bezpośrednio zainteresowanym. Wezwanie do urzędu zatrudnienia może bardzo szybko sprostować te mało odpowiedzialne spekulacje.

Nikt w Polsce Ludowej nie zamierza ukrywać, że w walce o nową ludową inteligencję młodzież robotniczo-chłopska jest otoczona szczególną opieką państwa. Wola wyrównania historycznej krzywdy i zrozumiała, realistyczna tendencja stawiania na potencjalnego sojusznika w walce o społeczną odnowę kraju w pełni uzasadnia np. uprzywilejowanie tej młodzieży w dostępie na wyższe uczelnie lub powierzanie jej bardziej eksponowanych stanowisk w instytucjach państwowych. Oczywiście w ogniu ostrej bitwy klasowej mają również miejsce wypadki niesłusznych odchyleń. Słепotą jednak było by nie dostrzegać generalnej linii państwa, polegającej na mobilizowaniu do piętrzących się przed naszym narodem zadań — całej młodzieży.

Planowa gospodarka kadrami na pewno też stwarza bezpośrednio nią objętym jednostkom wiele subiektywnych trudności. Gospodarkę tę także rodzimi konserwatyści pragnęli by uważać za „perfidne” narzędzie klasowej dyskryminacji. Jakoś jednak zapominają, wysuwając te oskarżenia dodać, że w ramach tego samego planu jest zatrudniana również młodzież robotnicza i chłopska. Tak: właśnie „ta uprzywilejowana”. Bo socjalizm jest na pewno czymś więcej niż natarczywym owadem, mającym za jedyny cel zakłócanie błogostanu zrównoważonych mieszczan.

Na koniec chciałbym rozważyć jeden z poważniejszych argumentów wysuwanych przez konserwatywną

opinię. Chcę go tu przytoczyć, ponieważ wydaje mi się obiektywnie słusznym i nie widzę powodów dlaczego żonglowanie nim miało by stanowić wyłączny monopol przeciwników reform a nie na przykład skuteczny instrument krytyki konstruktywnej.

Choć nie jestem marksistą i w dialogu światopoglądowym marksizmkatolicyzm znam swoje miejsce, pragnąłbym, ażeby ten dialog toczył się właśnie dlatego, że chodzi o prawdę i jej konsekwencje w warunkach maksymalnie dla obu stron dogodnych. Otóż niepokoją mnie pewne elementy realizacyjne oficjalnej dydaktyki. Każdy marksista przyzna chyba słusność mojej dalszej krytyce, a te wyjaśnienia wstępne potrzebne mi były tylko dlatego, żeby usprawiedliwić trochę zastanawiającą troskę katolika o sprawy pozornie wewnętrznie marksistowskie. Tak się jednak składa, że ta sama oficjalna dydaktyka służy nie tylko upowszechnianiu filozoficznych tez materializmu dialektycznego, których nie podzielam, ale również głoszeniu ogromnej ilości stwierdzeń społeczno-ekonomicznych, które uważam za własne.

Stwierdzenia te są wynikiem historycznego doświadczenia klasy robotniczej, ich przydatność jest codziennie wypróbowywana w walce proletariatu o socjalizm, toteż nic dziwnego, że zostały sprecyzowane w formie naukowych uogólnień. Każdy rzetelny i uświadomiony działacz marksistowski pamięta, że ma w takich wypadkach do czynienia z podsumowaniem doświadczeń, z uogólnieniem, a nie z dogmatem. Wie, że nie wystarczy jakąś tezę podawać mechanicznie do wierzenia, ale trzeba ją na konkretnych przykładach zilustrować i uzasadnić.

W odniesieniu do młodzieży wywodzącej się z konserwatywnych środowisk mieszczańskich jest to o tyle ważne, że w domu nauczono ją wszystko widzieć „oddzielnie” i elementarne zasady myślenia dialektycznego stanowią dla niej przez długi okres czasu czarną magię. Tymczasem bardzo często się zdarza, że w organizacji lub szkole młodzież spotyka się z przejawami szkodliwego absolutyzowania żywej nauki o żywym społeczeństwie jeżeli np. wykładowca poprzestaje na szermowaniu syntezami. Te część młodzieży, która jest z góry nieprzyjaźnie przez dom nastawiona do polskiej rewolucji — takie postępowanie nie tylko ostatecznie zniechęca do określonej ideologii i polityki, ale do ideologii i polityki w ogóle. Jednym słowem bezduszny nadgorliwy pedagog-recytator szkodzi w tej samej mierze ideowości w rozumieniu marksistów co katolików, którzy uważają, że zdolność do przeżywania napięć ideowych jest upragnionym terenem dla apostołatu.

★

RÓŻNE są narzędzia mające odżegnywać mieszczańskie dzieci, w intencji ich konserwatywnych rodzin, od społecznego nurtu współczesności.

W atmosferze ustawicznej insynuacji przeciw porządkowi reform, tylko inteligentniejsze i mocniejsze młode jednostki potrafią przebić się przez mur umiejętnie piętrzonych uprzedzeń i znaleźć własną ścieżkę do historycznego „dziś”.

Z kolei tylko stworzenia nader nieinteligentne lub pozbawione odwagi własnej inicjatywy przyjmują bezkrytycznie czy też „na słowo honoru” cały bagaż omszałych społeczno-obyczajowych poglądów ocalanych przez domową arkę.

Najliczniejsza jest grupa trzecia. Presja nowej rzeczywistości burzy w jej oczach skomplikowaną budowlę rodzinnych mitów lecz jednocześnie

zaszczepione toksyny nieprzyjaźni do rewolucyjnych przemian uniemożliwiają przekroczenie zakłętego kręgu, za którym dzieje się nowe.

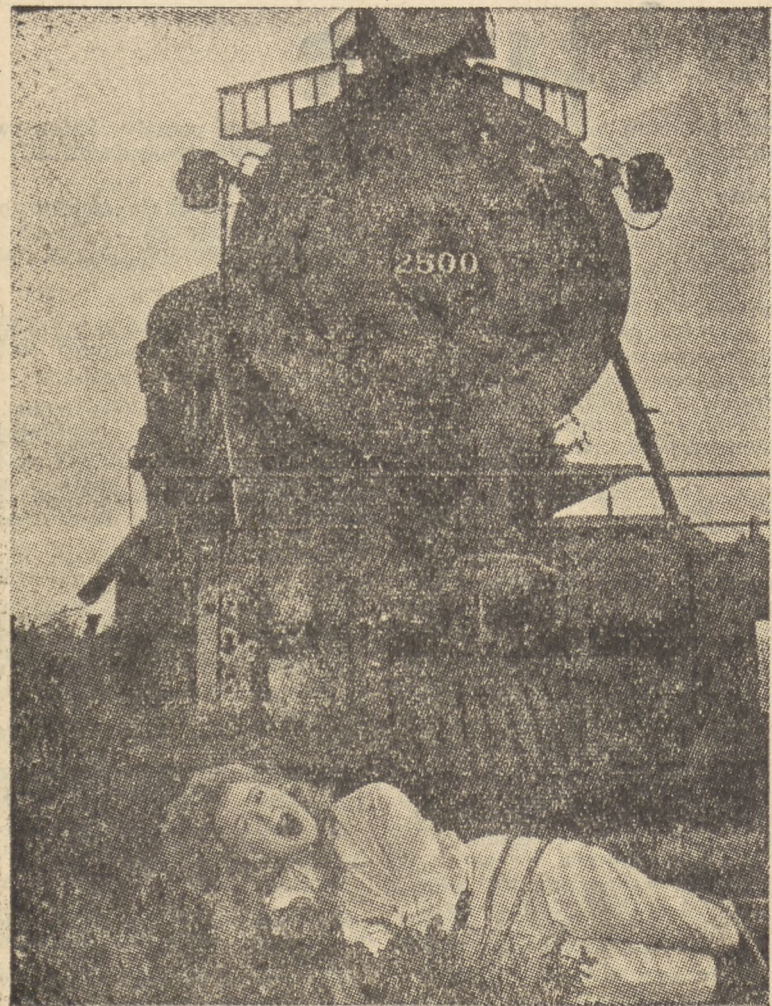
Brak autentycznego pionu życiowego po utracie domowych podpórek wyróżnia ta czy inna jego namiastka. Młodość bowiem bardziej niż wiek dojrzały nie wytrzymuje ideowej próżni. W klimacie totalnego zwątpienia, nihilistyczny ideał życia ułatwionego ma swobodne pole do popisu wśród młodzieży, która — jak się wyraził jeden z moich przyjaciół — chce być przynajmniej „teraźniejszą nie mogąc być współczesną”. Wydaje się, że „amerykanizm” z powodzeniem funkcjonuje właśnie jako taka „niewspółczesna teraźniejszość”.

Jeżeli chodzi o pozycję religii w tych procesach to przykład ideowego rozkładu nieprzyjaznej kierunkowi przemian — rodziny mieszczańskiej niejaką w sposób wzorcowy wykazuje jak fatalne następstwa moralne powoduje nieumiejętność lub brak chęci do konfrontowania światopoglądu z życiem. Wyjątek od tej „prawie — reguły”, stanowią wypadki, kiedy nie co innego jak właśnie katolicka pasja moralna jest źródłem mocy, dla owych odważniejszych jednostek, które potrafiły dostrzec etyczny sens rewolucji. W mniejszej ilości znanych mi zdarzeń, konserwatywnemu środowisku udało się posłużyć religią jako ostatnią zapora chroniącą zachynającą już fermentowaną młodość przed widmem oczekiwanego „wylewu”. Nie trzeba chyba dodawać, że takie operacje mogą być skutecznie dokonywane tylko łącznie z potworną mistyfikacją, polegającą na przedstawianiu religii jako czegoś integralnie związanego z całokształtem mieszczańskich wierzeń. Niestety tak właśnie dzieje się najczęściej. Dlatego też, przeważnie wraz z kompromitacją domowej ideologii zostaje skompromitowana w oczach mieszczańskieg0 dziecka wiara i katolicka moralność. Wielu konserwatywnych społecznie, lecz prawdziwie wierzących rodziców zdziwiło by się niepomiernie, dowiadując się, że bezpośrednimi sprawcami nihilizmu i niefrasobliwości obyczajowej ich potomstwa są oni sami. A przecież to takie proste: wiara i moralność winny być realizowane w każdym czasie i w każdej rzeczywistości. Zawieszona w ahistorycznej próżni poprzez związanie ich z przebrzmiałą, kapitalistyczną przeszłością, albo co gorsza spożytkowane dla osłaniania tej próżni — uginają się pod lada silniejszym podmuchem. Rodzice nie potrzebują być zwolennikami amerykańskiego stylu życia, ażeby zdołać on zatrudnić w obyczajowości dzieci. Wystarczy ich trwanie w zaciekłej nieprzyjaźni żywionej wobec dokonujących się w Polsce przemian. Wystarczy niesprecyzowane w formie ale jednoznaczne w treści proimperialistyczne ciągoty. Reszty dokonuje nieubłagana dialektyka przemian tak bardzo w obecnym momencie wyraziła. Antywspółczesna, zapoznająca wymowę otaczającej rzeczywistości mitologie rodzin mieszczańskich rodzą rezultaty wychowawcze zbliżające się w sposób zgoła intencjonalnie niezamierzony z politycznymi lecz na pewno nie — obyczajowymi sympatiami naszych „dobrze myślących”. Proamerykańskie skłonności mieszczańskich liberałów zostają reproduktowane ku ich zdumieniu i przerażeniu w formie nihilistycznego rozbestwienia ich synów i córek. Tylko na pozór paradoksalny jest osobliwy charakter tego „biegu amerykańskich okoliczności”. Za historyczną ślepotą historia zawsze wystawia rachunek. Często cena, którą trzeba wówczas uiścić może być tragiczna historia własnych dzieci.

Mikołaj Rostworowski







Betty Hutton w „pogodnym” sensacyjnym filmie amerykańskim „The Perils of Pauline”. Wystarczy spojrzeć na twarz aktorki, by domyślić się, że pociąg w odpowiednim momencie stanie.

W FILMIE francuskim *Bez adresu* paryski szofer słyszy następującą rozmowę: On. — Co było w kinie? Ona. — Nic ciekawego. Same zbrodnie.

W kronikach sądowych w prasie zachodnio-europejskiej i amerykańskiej można często znaleźć w sprawozdaniach z procesów kryminalnych lakoniczne stwierdzenia: — natchnieniem przestępców były gangsterskie i kryminalne filmy amerykańskie.

Wielu zachodnio-europejskich publicystów występuje przeciwko filmowi w ogóle, uważając że olbrzymia popularność najmłodszej sztuki, rozpowszechniającej się „nałóg kina”, są przyczyną upadku kultury, elementem zagrażającym europejskiej cywilizacji.

W angielskich, francuskich lub włoskich pismach co pewien czas pojawiają się artykuły stwierdzające z goryczą, że film stając się ulubioną rozrywką współczesnego człowieka wpływa na ogólne obniżenie poziomu intelektualnego i kulturalnego.

Angielski publicysta J. T. Pringle tak pisze w „News Chronicle”: *Jedną z najważniejszych przyczyn zastraszającej w dosłownym tego słowa znaczeniu ignorancji naszych chłopców i dziewcząt jest ich pasja dla amerykańskich filmów i amerykańskich komedii przy całkowitym lekceważeniu wszelkiej poważnej lektury. Nasz kraj powinien się wstydić tego, że Anglicy wolą najwulgarniejsze pomysły zaatlantyckie od własnej kultury narodowej albo kultury europejskiej.*

## LESZEZ

Postępowa prasa zachodnia adresując dokładnie oskarżenie, udowadniając, że przyczyną zła jest podporządkowanie „najważniejszej ze wszystkich sztuk” kapitalowi amerykańskiemu, wykorzystanie filmu dla celów imperialistycznej polityki amerykańskiej.

Atak na kulturę zachodniej Europy rozpoczął się od ataku na europejskie kinematografie, od walki z filmami związanymi z tradycją narodową i dążeniami najszerszych mas. Walki podjętej z całą ostrością nie tylko dlatego, że film jest dziedziną sztuki najbardziej uzależnioną od bazy techniczno-przemysłowej, ale przede wszystkim dlatego, że opanowanie wytwórni filmowych i ekranów europejskich daje olbrzymie możliwości oddziaływania na świadomość najszerszych mas. Hollywood w tej chwili spełnia marzenie Goebelsa — tworząc z filmu broń ideologiczną, działającą we wszystkich krajach kapitalistycznych, stając się narzędziem politycznej i kulturalnej ekspansji faszystwu.

### KTO PŁACI ZA FLET, TEN DYKTUJE MELODIE

FILM w krajach kapitalistycznych był od początku swego istnienia dziedziną twórczości artystycznej najbezpośredniej podporządkowaną wielkiemu kapitalowi. Już w pierwszych 20 latach swego istnienia rozrósł się z ciekawostki, z sensacji programów Varieté, czy wreszcie jarmarcznej rozrywki w potężną gałąź przemysłu, w ważny obiekt handlu, w najpopularniejszą dziedzinę sztuki. Masowość filmu, uniwersalność środków wyrazu, te same chy, które sprawiły że w świecie postępowym został uznany za najważniejszą ze wszystkich dziedzin sztuki, w świecie kapitalistycznym zdecydowały o zagarnięciu wpływow na produkcję filmów przez wielkie koncerny finansowe.

Finansiści najpierw dostrzegli w nowym wynalazku doskonały przedmiot handlu, a gdy ów wynalazek udoskonalił się, dojrzeli jego podwójną użyteczność, dającą obok możliwości zarobku na wszystkich szczeblach produkcji, najlepszą drogę oddziaływania na olbrzymie masy publiczności. Jednocześnie w pierwszym dwudziestolecu XX w. tzw. elita intelektualna wyrażała swoją pogardę dla nowej, rodzącej się sztuki.

*Kino wieciela najgorszy ideał mas — pisał Anstol France. Współczesny Europejczyk używa kina lecz się go wstydi — stwierdzał w 1913 r. Karol Irzykowski.*

*„Miejmy nadzieję, że kinematograf ma przed sobą wiele możliwości rozwojowych i że w niejednym jeszcze się zmieni. Może po upływie jakiegoś czasu zajmą się nim ludzie, dla których sprawy sztuki kinematografu nie będą obce. Dotychczas jednak jest to jedynie fabryka złego gustu” — oświadczył Bernard Shaw.*

Tych, „którym sprawy sztuki nie były obce” w epoce kultury elitarnej w sztuce — odtręcała od filmu jego wielka popularność. Artyści, intelektualiści, estetycy na Zachodzie bardzo późno dostrzegli możliwości rozwoju filmu. Bardzo nieliczni tylko szukali sposobów, aby nowy wynalazek wyssażyć w walory twórczości artystycznej. Obok nieśmiałyich zaczątków tego, co nazywamy sztuką filmową, rósł i szybko zdobywał ekran całego świata ten nurt, który Shaw nazwał „fabryką złego gustu”.

Razem z zainteresowaniem wielkich kapitalistów film obok środków finansowych otrzymał precyzyjną i zorganizowaną kontrolę czuwającą nie tylko nad tym, by uczynić z kinematografii źródło jak najlepszych zarobków, instrumentem ochrony interesów

# FILM CHCE

wielkich potentatów finansowych i ich porządku społecznego, ale także by nie dopuścić do powstania sztuki filmowej ambitnej i realistycznej. Razem z rozwojem kinematografii rozwijała się wielka machina mająca narzucić publiczności najgorsze produkty złego gustu, wmówić jej, że właśnie takiego „towaru filmowego” oczekuje i pragnie.

### AMERYKAŃSKI FILM KUPILI WIELCY BANKIERZY

FINANSIŚCI od początku nie żądali pieniędzy na reklamę, rozbudowę kin, rozwój techniczny przemysłu filmowego, na to, by kinematografia amerykańska docierała wszędzie, przyciągała widza, stała się atrakcyjnym narkotykiem. Rozbudowano kosztowną reklamę i publicystykę pełniąca funkcje reklamy. Wmawiało się w widza, że film jest w swojej specyfice antyrealistyczny, że musi mówić o marzeniach, złudzeniach, że musi uwalniać człowieka od rzeczywistości, być ucieczką od trosk i prawdziwych spraw codziennego życia. Filmy produkowane w Ameryce przez długi czas wpajały przekonanie, że świat jest doskonale zorganizowany, że majątek nie daje zadowolenia, że zresztą każda pokojówka może przez małżeństwo z milionerem zdobyć pieniądze, ale nie one, tylko romantyczna miłość decydują o szczęściu. Uczyli, że ludzie spokojni, bierni, zrezygnowani są zawsze szczęśliwsi od wszelkiego rodzaju buntowników. Wskazywały, że sam mechanizm świata decyduje o tym, iż każdy człowiek ma to, na co zasługuje, a jeśli jest nieszczęśliwy, to na pewno sam jest tego przyczyną.

Pamiętamy jeszcze ten typ filmów, które przez długie lata stanowiły podstawę rzekomo apolitycznej kinematografii kapitalistycznej. Pamiętamy niezmienny typ bohatera — ideał narzucany milionom ludzi: człowieka nie mającego ojczyzny, obywatela całego świata, nie związanego z żadnym konkretnym środowiskiem czy społeczeństwem, żyjącego w osobnym, wymyślanym świecie glicerynowych łez, nieprawdziwych uczuć i nieprawdopodobnie brzydkich wnętrz.

Wielki reżyser francuski René Clair napisał niedawno:

*„Pieniądz dał przemysłowi filmowemu potężne środki techniczne, wyposażył film w niesłychaną powszechność, przyciągnął do kin miliony ludzi, ale ta wzrastająca powszechność podporządkowała tę dziedzinę sztuki władzy pieniądza”.*

Nie finansowe względy, ale przede wszystkim polityczne sprawiły, że ci, którzy w film inwestowali swoje pieniądze walczyli ze wszystkimi kierunkami naprawdę realistycznymi w kinematografiach kapitalistycznych. Ameryka zwalczała od początku nie tylko konkurencyjne kinematografie innych krajów, ale także wszelkie ambitniejsze dążenia artystyczne we własnej produkcji filmowej. Już w latach przedwojennych można było dostrzec, że najbardziej zwalczani byli ci filmowcy, którzy szukali własnych dróg, zaczęli walkę o prawdziwą sztukę filmową. Przykładem tego jest chociażby historia twórczości Chaplina. Mimo sukcesów finansowych, które przynosiły filmy realizowane przez ambitniejszych, nie poddających się władzy dolara realizatorów, twórczość ich była w Ameryce atakowana i paraliżowana, dlatego jedynie, że nie odpowiadała politycznym interesom wielkich koncernów finansowych.

Ostateczne zorganizowanie amerykańskiej maszyny, stworzonej przez system kapitalistyczny po to, by utrzymać całość produkcji filmowej w rękach właścicieli wielkiego kapitalu, nastąpiło w Ameryce około 1935 r., kiedy cały przemysł filmowy został

podporządkowany koncernom finansowym Morgana, Rockefellera i Hearsta a 30% produkcji i cała dystrybucja została opanowana przez zależną od nich wielką piątkę: Paramount, Metro Goldwyn Mayer, Warner, Fox i R. K. O.

W tym okresie także wykrystalizowała się jeszcze jedna broń w rękach ustroju kapitalistycznego, służąca do opanowania produkcji filmowej: cen zura. Hasło jej: czuwanie nad dobrymi obyczajami i porządkiem społecznym, osłania we wszystkich krajach kapitalistycznych te same tendencje.

Specjalna surowość cenzury w stonsunku do produkcji filmowej została umotywowana słowami: „film w przeciwieństwie do książek i muzyki nigdy nie może mieć ograniczonego kręgu odbiorców”.

System kontroli filmów został zorganizowany tak, by nie dopuścić do powstawania filmów niewygodnych dla władz i jednocześnie nie pozwolić na wyświetlanie takich filmów obcokrajowych, które mogłyby publiczności wskazać, jak bardzo produkt jej narzucany jest bezwartościowy i szkodliwy.

### KRÓTKOTRWALY RENESANS

POWOJENNA publiczność kin europejskich przestała interesować się nieprawdziwymi, urojonymi dramatami które jej pokazywał film amerykański. Jednocześnie w wielu krajach zachodniej Europy twórcy filmowi mimo trudności ekonomicznych i zniszczenia urządzeń technicznych zaczęli realizować filmy związane z tymi zagadnieniami, którymi żyły ich społeczeństwa, usiłując wyrazić w swojej sztuce przeżycia wojenne i niepokój okresu powojennego.

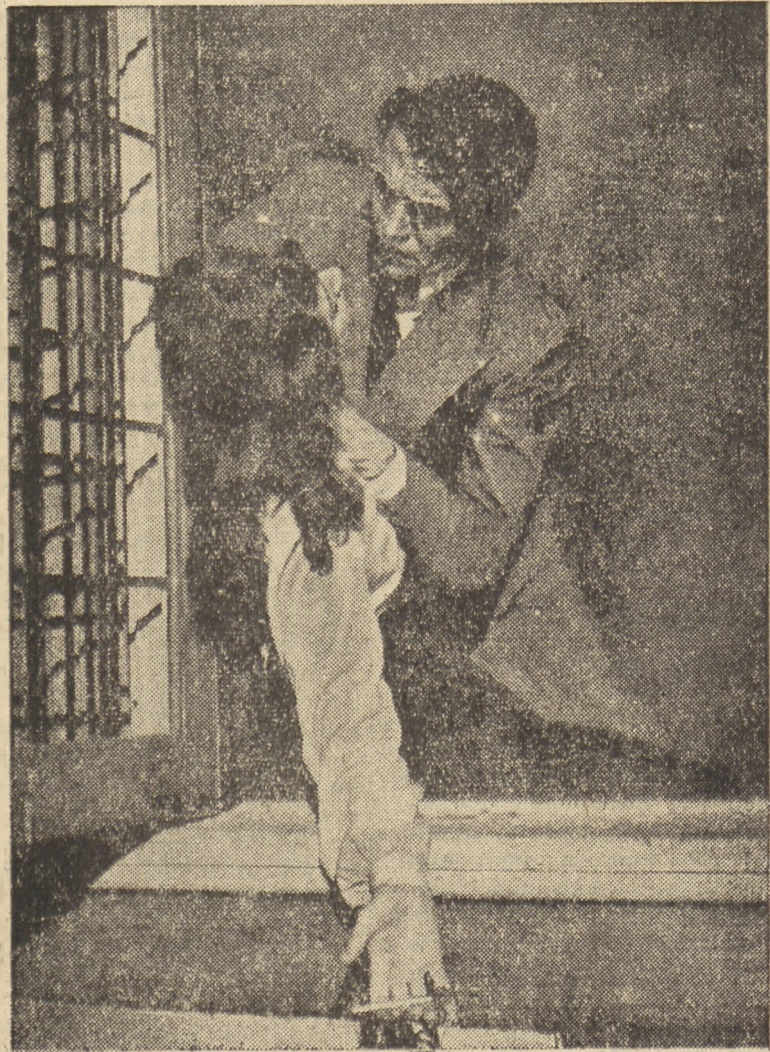
Angielski publicysta Peter Sutton pisze, że najbardziej typowe dla pierwszych lat powojennych było dążenie do zerwania z kosmopolitycznym szablonem, troska z jednej strony o wiązanie filmu z tradycją i kulturą narodową, z drugiej tendencja do wyrażania zagadnień aktualnych i ważnych.

Tak przeżyła swój krótkotrwały renesans angielska kinematografia wyzwolona w tych latach spod bezwzględnej kontroli amerykańskiej. Najwybitniejsze filmy angielskie były twórczą adaptacją angielskich arcydzieł literackich, próbą wypracowania narodowego języka filmowego opartego na klasycznych wzorach literatury narodowej. Odczyta, mająca w Europie zachodniej najpiękniejsze tradycje artystyczne — francuska kinematografia, powstała nowa, będąca rewolucją dla całego świata, realistyczna szkoła włoska.

Międzynarodowe sukcesy filmów europejskich takich jak: „Komedia o cztery”, „Bitwa o szczyt”, „Rzym nie został zburzony”, „Wielkie nadzieje” wzbudziły niepokój władców amerykańskiej „fabryki snów” i wywały na pierwszy plan presję ekonomiczną na europejski przemysł filmowy, a w następnym okresie zorganizowaną walkę już o zdecydowanie politycznym podłożu z wszelkimi próbami europejskiej niezależnej twórczości filmowej. Towarzyszyła tej walce praca nad wypracowaniem nowego stylu amerykańskiego filmu, takiego stylu, który ułatwił by narzucenie Europie amerykańskiego stylu życia.

### HOLLYWOODZKI „NEW LOOK”

KINEMATOGRAFIA amerykańska wskutek całkowitego podporządkowania magnatom finansowym była organizacyjnie przygotowana do spełnienia roli posłusznego narzędzia. Niemniej w okresie rooseveltskim w latach wojny ka-



Angielski film „Upturned Glass” to historia kryminalno-psychoanalizy. Bohater filmu, profesor medycyny sądowej, opowiada studentom o swej planowanej zbrodni, dusi kobietę, wiezie trupa samochodem, w międzyczasie robi trudną operację i na koniec skacze w przepaść

# MÓWIĆ PRAWDE

czyły się i w Hollywood odbywać nowe tendencje, powstało kilka filmów zrywających z wypracowanymi schematami fabryki snów. Te nowe tendencje wyrażały filmy takie jak: „Emil Zola”, „Mr. Smith jedzie do Waszyngtonu”, „Konwój”, „Gwiazda Północy”, „Najlepsze lata naszego życia”. Na tle produkcji amerykańskiej (ok. 600 filmów rocznie) filmy te stanowiły kropkę w morzu, jako kierunek jednak były na tyle niebezpieczne że zdecydowano się na zduszenie niewygodnych dążeń w zarodku.

Akcja przeprowadzana przez Komisję do Badań Działalności Antyamerykańskiej na terenie Hollywood sprawiła, że najuczciwi i broniący swojej niezależności pracownicy filmowi zostali odsunięci od wszelkiej twórczej pracy. Słynny proces dziesiątki z Hollywood był przykładowym procesem mającym zastraszyc tych wszystkich, którzy mieli zamiar walczyć o prawo artystycznego wyrażania swoich poglądów.

Jednocześnie wypracowano nowe schematy dla filmów przeznaczonych na rynki europejskie. W pierwszym okresie zastąpiono bezmyślnie romanse z typowym happy-endem skomplikowanymi dramataми psychologicznymi, propagującymi jako metodę rozwiązywania wszystkich trudności jednostkowych — psychoanalizę, a awanturnicze, gangsterskie filmy ponurymi dramataми kryminalnymi.

Propaganda freudowskiej psychologii głębi odpowiednio rozwijana w filmach, wmawiała w widza że przyczyną sprzeczności i konfliktów w życiu jednostek, konfliktów społecznych nawet, jest podświadomość. Że świadome działanie człowieka jest znikomą częścią jego życia, że wreszcie rozum i wola ludzka są elementami najmniej decydującymi, zawsze poddającymi się przemożnej sile niepojętych i ponurych instynktów. Filmy amerykańskie były pełne popularnych wykładów teorii podświadomości. Przy pomocy psychoanalizy tłumaczyło się przestępstwa kryminalne, tragédie małżeńskie, konflikty społeczne, rasowe, wojnę, miłość, i twórczość artystyczną.

Cel tej propagandy był jasny: chodziło o mówienie człowiekowi żyjącemu w sprzecznościach ustroju kapitalistycznego, że konflikty otaczającego go świata wynikają z niezmiennych psychicznych skłonności natury ludzkiej, że nie ma żadnych możliwości usunięcia tych konfliktów, bowiem człowiek w samej swojej istocie jest tak skonstruowany, iż biologiczna niepoznawalna rozumowo część jego natury stanowi wielką dominantę nad świadomym działaniem.

Filmom psychoanalitycznym towarzyszyła seria filmów kryminalnych i najbardziej pesymistycznych dramatów opisujących brutalność, zbrodnie, najniższe instynkty, pokazujących ludzi samotnych, bezradnych i zgubionych w złym i zepsutym świecie. Filmy te propagowały cynizm, brutalną siłę, bezwzględność.

Zaczęto także realizować niby odważne filmy o problematyce rasowej i społecznej. Te przeznaczone były przede wszystkim na rynek europejski, w Ameryce bowiem spotykały się ze sprzeciwem cenzury, ponieważ nawet samo postawienie problemu społecznego wydzawało się niebezpieczne, mogło niepotrzebnie kierować uwagę widza na sprawy o których przez wiele lat zabraniano mu myśleć. Filmy te mówiły o prześladowaniach rasowych albo poruszały zagadnienia krzywdy społecznej, pokazując że rozwiązaniem tych zagadnień leży jedynie w ramach moralności jednostkowej, że są to sprawy rozstrzygane indywidualnie w osobistym życiu poszczególnych ludzi.

W tym okresie także Hollywood zrzucił maskę apolityczności, wzywając

filmowców amerykańskich do zdecydowanej walki z wszelkimi tendencjami postępowymi.

Takimi filmami została zalana Europa. Towarzyszyło temu planowe niszczenie narodowych kinematografii zachodnich. Od 46 r. zaczęto stosować metody podpisywania umów z rządami krajów europejskich, umów oddających produkcję w ręce amerykańskie.

Reakcyjne rządy nie sprzeciwiały się niszczeniu filmu w ich krajach, wiedząc, że film amerykański jest sojusznikiem w walce politycznej, którą muszą prowadzić aby zachować władzę. Mimo protestów postępowej prasy i wybitnych filmowców umowy te w wielu krajach były śmiertelnym ciosem zadaniem narodowej kinematografii. Dwa tylko kraje, w zupełnie innych warunkach i z zupełnie innych przyczyn podjęły szereg walkę z ekspansją amerykańskiej kultury na film: Francja i Włochy.

## CI, CO NIE PODDALI SIĘ WŁADZY DOLARA

WE FRANCJI atak amerykański nastąpił w bardzo ciężkim okresie ekonomicznym. Kinematografia francuska sprzedawana przez rząd Stanom Zjednoczonym nie uzyskiwała jeszcze ani utraconych podczas wojny rynków zbytu, ani nie odbudowała zniszczonych atelierów filmowych. Najwybitniejsi reżyserzy milczeli, inni ulegali rozpowszechnianej wśród kół snobistycznych modzie na pesymizm i fatalizm.

Wydawało się że amerykańskie uderzenie zakończy umową Blum-Byrnes będzie śmiertelną dla filmu francuskiego. Ani Amerykanie ani rząd francuski nie przypuszczali, że publiczność i filmowcy poparcie przez postępowe organizacje podejmą walkę o ocalenie swojego filmu.

Już w latach 1946 — 47 filmy amerykańskie we Francji były przyjmowane bardzo krytycznie. Brutalność i wulgarność nowego stylu hollywoodzkiego wywoływała protest moralny u prostego widza i sprzeciw krytyki nawet tej najbardziej estetyzującej przeciw artystycznej tandance amerykańskiej produkcji. Film miał we Francji tradycje artystyczne, był silnie związany z narodową kulturą, poza tym filmowcy Francji mieli już pewną tradycję walki z amerykańską konkurencją.

Cios amerykański zmobilizował i reżyserów i postępowe ośrodki i szerokie rzesze widzów do zorganizowanego sprzeciwu. W grudniu 1948 r. został założony Komitet Obrony Filmu Francuskiego, który od razu wciągnął w swoją walkę szerokie rzesze społeczeństwa. Pierwszą wspólną manifestacją był pochód na Bulwarach w Paryżu brutalnie rozpędzony przez policję.

Po tej manifestacji jeden z dyktatorów filmu amerykańskiego Erik Johnston oświadczył: — „Wszędzie komuniści nienawidzą naszego filmu”.

W istocie Komunistyczna Partia Francji poparła akcję w obronie narodowej sztuki filmowej. W rezolucji K.C.K.P.F. z lutego 1948, czytamy: „Komunistyczna Partia Francji wyraża swą radość z szczęśliwego postanowienia artystów i pracowników filmowych, którzy połączyli się w obronie naszej kinematografii. Partia zapewni czynne poparcie wszystkim związkom, które mogą się stworzyć w celu obrony różnych dziedzin kultury przed amerykańskim imperializmem.”

Komitet w samym tylko Paryżu zebrał przeszło 300 000 podpisów pod manifestem domagającym się rewizji układu Blum-Byrnes. Dzięki tej akcji została zawarta umowa paryska łącząca tekst pierwotnego układu. Dzięki tej akcji także publiczność

zaczęła bojkotować filmy amerykańskie, i formułować swoje żądania w stosunku do filmu a realizatorzy filmowi zaczęli sobie zdawać sprawę ze swojej odpowiedzialności wobec społeczeństwa, z roli którą powinni spełnić w obronie francuskiej kultury i wolności.

Układy wpłynęły jednak na zwiekszenie się bezrobocia, obniżenie produkcji, na zaostrzenie wymagań cenzury. Producenci bali się inwestować swoje kapitały w filmy problemowe. Wiele trudności musieli przezwyciężać ci realizatorzy, którzy nie chcieli ani zamilknąć ani poddać się wymaganiom producentów. „O świecie” Daquina, „Wagary” J.P. Le Chanois, później „Diabelska piękność” René Claira, „Bóg potrzebuje ludzi” Delanoy’a były tymi filmami które wyznaczyły rozwój francuskiej kinematografii, udowodniły jej niezależność od zaatlantyckiego dyktanda.

W 50 r. Amerykanie ponowili atak na film francuski, spotkali się jednak ze zdecydowanym sprzeciwem. Wielka manifestacja w sali Pleyela w Paryżu była symbolem jedności postępowych filmowców i społeczeństwa.

W 51 r. rząd francuski zaczął na rozkaz Ameryki niszczyć rodzimy przemysł filmowy przez zamykanie największych atelierów i nadmierne podatki. Mimo to w tym właśnie okresie realizatorzy francuscy zaczęli tworzyć swoją walkę z naciskiem amerykańskiej propagandy. „Bez adresu” J.P. Le Chanois, „Cud zdarza się tylko raz” Alegreta, „Kochankowie z Brasmort” Pagliero, „Pamiętnik wiejskiego proboszcza” R. Bresson, „Wszyscy jesteście mordercami” Cayatte’a, „Fanfan La Tulipe” Christiana Jaque’a, to filmy będące dowodem zwycięstwa francuskiej sztuki filmowej w jej walce o jakość.

Naturalnie te zwycięstwa jakościowe, będące dowodem artystycznej żywotności francuskiej kinematografii nie wpłynęły na zahamowanie ekspansji hollywoodzkiej, ani na ilościowe kurczenie się francuskiej produkcji filmowej. Udowodniły jednak dobitnie widzowi francuskiemu i opinii całego świata że likwidacja i niszczenie filmu francuskiego jest atakiem na francuską sztukę, planowym niszczeniem francuskiej kultury.

## SZTUKA ZRODZONA Z PROTESTU MORALNEGO

PUBLICYSTA włoski Chiarini napisał kiedyś, że włoski film powojenny, spełnił w życiu kulturalnym Włoch tę samą rolę, jaką w dobie renesansu spełniło włoskie malarstwo. W istocie można powiedzieć, że w życiu powojennych Włoch film stał się tą dziedziną sztuki, która z największą pasją artystyczną wyrażała problematykę swojego kraju.

Tematy pierwszych realistycznych filmów włoskich to niby proste, ludzkie zwykłe sprawy. Bohaterowie to zwykli, często śmieszni ludzie. Ale pokazano ich właśnie takich zwyczajnych, nie upiękaszonych na tle wielkich wydarzeń i konfliktów lat wojennych i powojennych. Filmy takie jak „Rzym miasto otwarte”, „Słońce wschodzi”, „Paisa”, „Dzieci ulicy” mówiły nie o wyizolowanych dramatach jednostek ale o związku niepowtarzalnych jednostkowych tragedii z tragedią całego Włoch i z konfliktami całego świata. Opisywały nędzę, śmierć, okrucieństwo, bezdomność, mękę z demaskatorską pasją moralną, pasją, w której widać było pragnienie artystycznego odzwierciedlenia doświadczeń wojennych i powojennych, widać było dążenie do poznania przyczyn wielkich konfliktów społecznych i politycznych, i przede wszystkim olbrzymią wiarę w człowieka, humanistyczne zaufanie do szlachetności natury ludzkiej. Filmy



Manifestacja reżyserów i aktorów francuskich w obronie francuskiej kinematografii niszczonej przez amerykańską politykę.

te szybko zdobyły popularność i olbrzymi sukces finansowy. Sukces ten sprawił że włoscy producenci chętnie inwestowali swoje kapitały w filmy tych reżyserów, których nazwiska dawały gwarancję popularności.

Pierwszym objawem walki z realistyczną włoską szkołą filmową była zmowa milczenia kapitalistycznej prasy wokół włoskich filmów. Później, gdy już zdobyły sławę zaczęto wmawiać w widzów, że specyfika neorealizmu leży w stronie formalnej, w jakimś tajemniczym „stylu”, w metodzie operatorskiej i reżyserskiej. Nie precyzowano zresztą dokładnie, na czym ta metoda polega, niemniej próbowano fabrykować neorealistyczne filmy i we Włoszech i w Ameryce. Okazało się jednak że naśladowujące neorealizm fałszyfikaty chociaż miały pewne formalne cechy wspólne z filmami Rosselliniego czy De Sica były jednak zawsze wychylone albo w kierunku naturalizmu albo pełnego okrucieństwa pesymizmu.

Kiedy stało się jasne, że nie da się sprowadzić osiągnięć realistycznej szkoły włoskiej do zdobyczy formalnych zaczęły się ataki na postawę ideologiczną włoskich reżyserów, którym zarzucano fałszowanie rzeczywistości włoskiej, manieryczne lubowanie się w pisaniu nędzy i krzywdy. Zarzuty te były o tyle nonsensowne że szczególnie w pierwszym okresie filmy włoskie nie miały nie tylko wspólnego programu artystycznego ale i trudno było mówić o jedno litiej postawie ideowo-politycznej. Łączyla je podobna postawa moralna i poznawcza. O postawie politycznej można było tylko mówić o tyle, o ile uważa się, że pragnienie znalezienia prawdy jest równie, jak dążenie do

sfalszowania rzeczywistości, postawą ideologiczną.

Mniej więcej co parę miesięcy reakcyjna prasa obwieszczała bankructwo neorealizmu. Towarzyszył temu podobny jak we Francji nacisk ekonomiczny i zalew ekranów włoskich filmami amerykańskimi. Niemniej włoskie wytwórnie filmowe do skonałe zarabiające na filmach neorealistycznych szybko zdobywających zagraniczne rynki zbytu w konflikcie między interesem politycznym i interesem finansowym kierowały się tym ostatnim. Ta sprzeczność typowa dla pewnego stadium rozwoju systemu kapitalistycznego, pozwalała dotąd włoskim filmowcom na względnie swobodną twórczość artystyczną. Sformowała jednak klimat stałego niepokoju o przyszłość i ciągłą groźbę utraty możliwości materialnych w momencie, kiedy względy polityczne wezmą górę nad względami kasowymi.

## WALKA O ŻYCIE

„Dla artysty najgorszym ciosem jest odebranie mu prawa swobodnego wyrażania swoich myśli. Stało się to teraz w Stanach Zjednoczonych. Jeśli nie pozostawi się twórcom swobody myślenia — niszczy się kulturę”. — powiedział aktor amerykański Sam Wanemaker w czasie swojej wizyty w Paryżu w 1951 r. Filmowcy Europy wiedzą w tej chwili że ich walka o prawo do twórczości, jest nie tylko walką z handlową konkurencją, że jest wielką, trudną bitwą o narodową kulturę, o godność artysty, o godność człowieka w ogóle. Jest — jak pięknie powiedział francuski reżyser „Louis Daquin: „walką o życie — która trwa”.



Scena przesłuchiwania w Gestapo z filmu Roberta Rosselliniego „Rzym miasto otwarte”

INTERNATIONAL PSYCHOLOGICAL SERVICE 140, Bd. Wagram, Paris 8<sup>e</sup>

Cinéma monde

PARIS-HOLLYWOOD

Caliban PANORAMA DU MONDE

PARIS MATCH

KIEDY PRZEGLĄDAM...

FRENCH CANCAN

FLASH

INITIATION SEXUELLE

Constellation LE MONDE VU EN FRANCAIS

KIEDY przeglądam amerykańzujące się albo już zamerykanizowane czasopisma wychodzące w zachodniej Europie, ogarnia mnie dziwaczne uczucie złożone w równym stopniu z chęci pośmiania się serdecznie, jak i z rozczarowania, z jakiegoś refleksyjnego smutku a wreszcie z bardzo popospolitej litości.

Śmieję się z chytrych reklam, które z maipią zręcznością wspinają się po kolorowych kartach magazynów, bawię się wysiłkami i pomysłowością autorów, którzy po dwudziestu wierszach opowiadania namawiają mnie

szkodliwości systemów wychowawczych, egoizmu klas posiadających, zakłamania i brutalnej agresywności własnych polityków, w narodzie amerykańskim drzemie jeszcze dziś tyle przeróżnych, wiecznie żywych wartości, tyle energii, tyle wspaniałych możliwości, że, pomimo wszystko, znaleźć można chyba dość powodów do optymizmu i wiary w zdrowie siły narodu Lincolna i Jeffersona, Walta Whitmana, Johna Browna, Roosevelta, Robesona i Howarda Fasta.

I dlatego, kiedy przeglądam owe

ki i samoloty, maszynki do kawy, nierogacizna i więzienia.

I dlatego to za 200 franków można kupić wspaniałe paznokcie — model amerykański! Paznokcie są sztuczne oczywiście, ale jednak... amerykańskie. Klej do nich kosztuje tylko 75 franków.

A może ktoś z czytelników chciałby jeszcze wyrosnąć? Nic łatwiejszego. Wyrosnąć można niezależnie od wieku, dzięki nowemu odkryciu „naukowemu”. Wystarczy zastosować amerykański aparat „Super Stalto”. Każdy może powiększyć w ten sposób swój wzrost o 15 i więcej cm. Rezultat natychmiastowy zapewniony. Jeśli ktoś chce by mu wyrosły dłuższe nogi to będzie miał dłuższe nogi. Ktoś życzy sobie by mu wyrósł większy biust? Proszę bardzo. Trzeba tylko zastosować aparat amerykański „SUPER STALTO” gwarantowany...

A teraz coś dla zakochanych. Zwłaszcza tych co się kochają bez wzajemności. Zdarza się to niestety i jest bardzo przykre, prawda? Ale i na to jest rada. Właściwie rzecz bardzo prosta. Zastosować należy „Magnetyczne perfumy miłosne”, które są „radioaktywne i wywołują, utwierdzają i utrzymują uczucie i serdeczny afekt nawet na odległość”. Autor ogłoszenia zapewnia w swej broszurce, że tego rodzaju perfumy są oddawna w użyciu w U. S. A. i nazywa swój „wynalazek” „najbar-



maleńkie wyjaśnienie dla tych, którzy nie bardzo wiedzą co to takiego. Otóż — jak poucza nas ogłoszenie — nadczołwiek, to taki pan, który potrafi obrócić na swą własną i wyłączną korzyść wszystkie siły fizyczne i umysłowe, które leżą w każdym człowieku. Nadczołwiek to ten, który używając wszystkich czynników swojej mocy, panuje nad masą ludzi średnich, nad masą której siły są wykorzystywane przez garstkę innych.

Śliczne, prawda?

Więc, panowie, który pierwszy odwieździ „DYNAM-INSTYTUT”, aby posiadać sekret stania się nadczołwiekiem? I proszę sobie nie wyobrażać, że to będą jakieś męczące i nudne

maleńkie wyjaśnienie dla tych, którzy nie bardzo wiedzą co to takiego. Otóż — jak poucza nas ogłoszenie — nadczołwiek, to taki pan, który potrafi obrócić na swą własną i wyłączną korzyść wszystkie siły fizyczne i umysłowe, które leżą w każdym człowieku. Nadczołwiek to ten, który używając wszystkich czynników swojej mocy, panuje nad masą ludzi średnich, nad masą której siły są wykorzystywane przez garstkę innych.

„Hallo — drogi przyjacielu, szefie, kochanie, malutka!

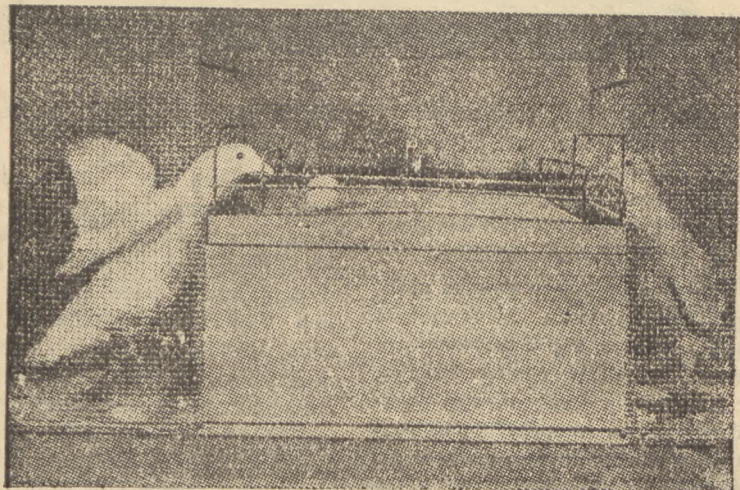
Jestem — szczęśliwy, smutny, chory, w doskonałej formie.

Tutaj jest — zimno, gorąco, świeżo, przyjemnie, spokojnie, nudno, wspaniale.

Czas spędzam na — grze w golfa, w tenisa, na tańcach, spacerach, kąpielach, bridge'u.

Potrzeba mi — pieniędzy, towarzysstwa, miłości, alkoholu, twojej obecności”.

Wszystko to niby zabawne a właściwie bardzo smutne i beznadziejne. Nic dziwnego, że wyczerpana zbrojeniami Europa zachodnia, zbrojeniami powziętymi przez rządy atlantyckie na zlecenie amerykańskie odwraca się ze skrzywioną miną od tych, którzy doją ją ponad jej siły. Wychudzonej krówki już nie są w stanie zabawić żadne maipiarstwa amerykańskiej reklamy, ani gołąbki grające w ping-ponga, ani „miłosne perfumy magnetyczne” ani nawet obietnica stania się „nadczołwiekiem”. Zresztą nie tak dawno widzieliśmy tych „nadludzi” i „übermenschów” przy robocie. Skojarzenie to może dość uproszczone ale



na kupno szelek lub baterii do lampki elektrycznej, patrzę na przyjemne buzie girlsów w periodykach, o których w swoim czasie pisał Gałczyński „że niby jakieś lepsze koloriki i aktorki — gdybym to ja tak mógł...”, przewracam kartkę za kartką, uśmiecham się a zaraz później żegos mi żal i czegoś wstyd...

Bo wcale nie jestem przekonany, że cała tzw. „amerykańska cywilizacja” jest z gruntu zła, głupia, ohydna i zbrodnicza. Bo zdaje sobie dobrze sprawę, że, zwłaszcza w dziedzinie materialnej, cywilizacja ta osiągnęła rezultaty godne uwagi, chociażby na takich polach jak mechanizacja, wyposażenie techniczne, specjalizacja czy estetyka produkcji. I wierzę, że mimo przerosłów i wynaturzeń kapitalizmu, mimo krzywych niesprawiedliwości społecznych, wynikłych z ustroju, mimo

przeróżne „Sélection du Reader's Digest”, „Constellation”, „French-Cancan”, „Paris-Hollywood”, „Cinéma monde”, „Paris Match”, „Epoca”, „Tempo”, „Flash” drukowane we Francji, Włoszech czy w krajach Beneluxu przez Amerykanów albo za amerykańskie pieniądze, robi mi się smutno i trochę żal nie tylko włożonych w te pisma wysiłków, ale przede wszystkim czytelników znęconych barwną okładką, roznegliżowaną dziewczyną czy obietnicą stania się „nadczołwiekiem”...

Do tak się już dzieje, że do krajów zmarshalizowanej Europy amerykańscy kulturtraegerzy przywożą wszystko to co najgorsze, najbardziej tandetne i powierzchowne, najgłupsze i przez to głęboko śmieszne. A równocześnie wydają się być tak z tego dumni, że aż śmiech pusty bierze. Zarozumiałość to cecha młodości. A jak słusznie pisał parę miesięcy temu Charles Favrel w „Esprit”:

„Tragedią epoki są kryzysy dojrzewania. Dojrzewanie narodu amerykańskiego podobne jest do dorastania młodego psa, który stara się gryźć cokolwiek, ponieważ właśnie rosną mu zęby. Ale przyjdzie wiek a z wiekiem skromność, której wam. Amerykanom, tak bardzo brakuje...”

Na razie jednak amerykańscy autorzy, publicyści, generałowie, turyści, handlowcy i dziennikarze obozujący w zachodniej Europie nie są wcale skromni.

I stąd w zamerykanizowanych pismach utarło się przekonanie, że wszystko, co amerykańskie jest najlepsze. Najlepsze konserwy, kosmetyki, lodówki, najlepsze powieści kryminalne, najlepsze papierosy i kremy do golenia, nadymane podusz-

Advertisement for 'UN SURHOMME' featuring a muscular man and text: 'Vous pouvez devenir UN SURHOMME', 'Qu'est-ce qu'un surhomme?', 'Ce sera vous, demain, si vous le voulez', 'Une méthode in-di-vi-du-elle!'.

dziej sensacyjną nowością naszej ery”. Po tej skromności można by go poznać... „nawet na odległość”.

Jak już mówimy o odkryciach naukowych to na pewno zainteresuje wszystkich ta ciekawa fotografia zamieszczona obok. Dwa niewinne gołąbki grające w krokietu czy ping-ponga. Fotografia pochodzi z tygodnika „Newsweek” jednego z najbardziej rozpowszechnionych w zachodniej Europie i służy jako ilustracja do artykułu o naukowych osiągnięciach. Artykuł znajduje się jak należy pod rubryką „Science” — Nauka.

A teraz, kto z panów chciałby się stać nadczołwiekiem? Nasamprzód

ćwiczenia gimnastyczne lub umysłowe. Nie, skądże by znowu? W porozumieniu z „International Psychological Service” „Dynam Institut” stosuje przeciw swą niechybną i wypróbowaną „metodę psycho-fizyczną” opartą na konfidencjonalnych wyznaniach samej ofiary... to jest, przepraszam... chciałem powiedzieć, szanownego klienta.

Jeszcze wiele zabawnych chwil dostarczyć może przeglądanie choćby tylko samych ogłoszeń zmarshalizowanej prasy zachodniej. Są przecież wspaniale przezroczyście — amerykańskie oczywiście — aparaty, przez które pewne panie mogą zobaczyć



właśnie dlatego wszystko to wcale nie jest takie zabawne.

J. P.

Advertisement for 'Marte BODIN' perfume: 'Marte BODIN', 'Parfums d'amour radioactif', 'Magnésium et irradié, ce parfum d'amour produit, fixe et retient l'affection et l'attachement sincère, même à distance'.

Advertisement for 'SEINS' treatment: 'SEINS', 'RAPPREMIER, DEVELOPPER en quelques jours avec dernière découverte scientifique américaine'.

Advertisement for 'DES ONGLES MERVEILLEUX': 'DES ONGLES MERVEILLEUX', 'Faux ongles, type américain', 'les 2 mains - 200 fr.; Cils - 75 fr.'.

Advertisement for 'GRANDIR' product: 'GRANDIR', 'AMERICAL JAMES BUSTY', 'American garanti SUPER STALTO'.